

X. KAN. J. BORODZICZ

Kresy Wileńskie w niebezpieczeństwie

Dalszy ciąg pamiętników
„Pod wozem i na wozie“.
(Polska i Zagranica).



WILNO — nakładem autora.

Odbito w drukarni „ZNICZ” w Wilnie, Św. Jańska 1.

X. KAN. J. BORODZICZ

Kresy Wileńskie w niebezpieczeństwie

Dalszy ciąg pamiętników
„Na wozie i pod wozem“.
(Polska i Zagranica)

WILNO.

NAKŁADEM AUTORA.

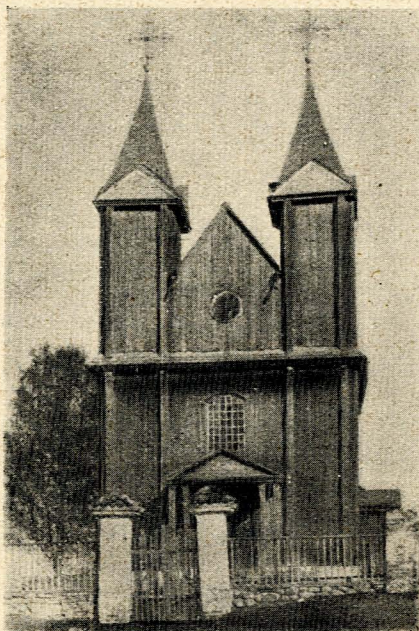
Odbito w drukarni „ZNICZ“ w Wilnie, Świętojańska 1.

OSOBY WZMIANKOWANE W DZIELKU:

Abramowicz X. Kan.	Kraujalis X. dr.	Piotrowicz rad.
Agosti Podesta	Kibelis X.	Potoccy ob.
Alessandro komis.	Kwinto ob.	Plater hr.
Bandurski Bp.	Korzeniewski ob.	Pimonow pos.
Borodziez X. Kan.	Kubarski kom.	Pogorzelski mec.
„ X. Prob.	Kurczewski sęd.	Ratti Nuncj. Ap.
Benedetti Pref.	Kwaśnicka ob.	Raczkiewicz Woj.
Bernard Pref.	Kleniewscy ob.	Rauze prok.
Bresson hr.	Leon XIII.	Rakowski rad.
Blanc M. Carlo	Lazzaronowie bar.	Rak-Michajłowski pos.
Blanc Nica	Luchiesi kon. g.	Rakicki mal.
Cieplak Arcyb.	Lubimow gub.	Raymondi mec.
Czok X. Prob.	Łopacińscy ob.	Ropp Bar. Arcyb.
Croisier red.	Mackiewicz red.	Sapieha Xiążę
Czelidze prof.	Mościcki Prez.	Szelązek Bp.
Chodyko X. dz.	Mussolini prem.	Sawicki X. Kanclerz
Chimay xiężna	Michalkiewicz Bp.	Sawicki X. dz.
Chowański xiążę	Matyasik red.	Szarokwicz ob.
Chmielowski prez.	Małachowski X.	Sarosiek X.
Daffra Bp.	Mańkowski Arcyb.	Sperski X. kan.
Dobrucki min.	Meysztowicz min.	Szapiel pos.
Dubowski Arcyb.	„ X. Kap.	Stelman prok.
Dubicki ob.	Mohl hr.	Seyda Pierw. Prez. N. Tr.
Eljaszewicz sęd.	Morawski min.	Składkowski Slavoy Min.
Episkopat Polski	Modzelewski pos.	Stołypin prem.
Florczak Mgr.	Milewski hr.	Silvio-Dian mec.
Gasparri Kard.	Minkiewicz gen.	Surwiłło pop
Godlewski Bp.	Morozow pop	Sznarbachowski Infułat
„ X.	Miłaszewicz płk.	Szkultynowie ob.
Gudaniec kand.	Miotła pos.	Tatyszczew hr.
Ghiers amb.	Murawjew.	Taraszkiewicz pos.
Hlond Kard. Prym.	Nawrocki X. pos.	Tokarzewski X.
Hryniewicz rej.	Niemczyk of.	Truszkowski wójt
Jałbrzykowski Arcyb.	Obrąpalscy inż.	Umiasztowscy ob.
Janowicz insp.	Obst red.	Wojciechowski b. Prez.
Janiszowski exk.	Onożko ob.	Wojtkiewicz pl.
Januszowski star.	Orkisz kom.	Wiewiórowska ob.
Jakubowski X.	Orłowski dr.	Winczy mjr.
Jakubowicz	Orlando min.	Wiśniewski insp.
Jasiński mec.	Pius XI.	Zaleski Min. S. Z.
Jeruzalski dr.	Piłsudski marsz.	Zwierowicz Bp.
Jłakiewiczowa Z.	Paderewski prem.	Zawadzki X. kan.
Karuza red.	Palewski mec.	Zubrzycki mec.
	Patek min.	Zugier W. ob.



Ks. Kanonik Józef Borodziez



KOŚCIÓŁ W LEONPOLU ZABRANY
NA CERKIEW (patrz str. 12).

I.

KALWARJA.

Prasa przed laty 20 wiele o mnie pisała. Były sążniste artykuły, gdym w 1910 r. wydał pamiętniki „Pod wozem i na wozie“, „Na Rusi Galicyjskiej schyzma się gotuje“, „Inflanty Polskie“, „Hladi jek dobre pid Moskałem żyły“, etc.

W 1917-1925 r. przypomniały pisma o mnie, szczególnie wywrotowe, gdy złożyłem świadectwo w sądzie w Warszawie w sprawie Majora Winczy z p. Janiszowskim. Autorem mylnych informacji był p. Hofmokl-Ostrowski, obrońca agenta sławetnej Ochrony carskiej.

We wrześniu 1927 r. narobiły wrzawy, odsadziły mnie od czci, wiary i prawa do zamieszkiwania w Polsce: „Kurier Wileński“, „Sielanskaja Niwa“, „Słowo“, i szczególnie napadała na mnie „Białoruskaja Krynica“, „Nasza Prawda“.

Solą w oku wrogom Polski było to, że J. E. Arcybiskup Jałbrzykowski, Metropolita Wileński posłał mnie na Kresy dla odbudowania kościołów dla ludu, zamieszkującego na 350 kilom. kw. bez świątyni.

W myśl zasady sprawiedliwości, pozwalałam sobie prosić Sz. Czytelnika, świadomego, czy nieświadomego szkodliwości pism wrogich Ojczyźnie i Kościołowi, by pozwolił i mnie zabrać głos, sprostować nieścisłości, by, jak św. Paweł mówi, „milczenie ludziom ułomnym i słabym nie stało się zgorszeniem“. **Audiatur et altera pars.**

Nie będę polemizował z prasą z czasów carskich, nie poruszę też o napaściach głośnych w mych zatargach z Hr. Ignacym Milewskim, ani też zajścia w Konsulacie Generalnym Polskim w Rzymie. (patrz raporty Misji Wojskowej przy poselstwie polskim w Rzymie, 1919-1925). Zarzuty wszelkie, kiedykolwiek i jakiegokolwiek były skierowane przeciw mnie, uwłaszczające, są wyjaśnione, odparte, a winni oszczerstw napiętnowani w prasie lub wyrokami sądów.

Oczywiste, iż, budując dotąd kościołów jedenaście, a zawsze pośpiesznie i w okolicznościach wrogich Kościołowi,

a prawie w każdym wypadku szkodliwych Ojczyźnie, musiałem spotkać wielu opornych, którzy moją pracę, czy to jako kapłana w duszpasterstwie, czy też obywatela, potykającego się z rusyfikacją, starali się unicestwić i w oczach moich zwierzchników, a szczególnie opinii publicznej, obniżyć, zaufanie poderwać.

Zawiele cenię dobre imię i dla tego mój przeciwnik spotyka się ze mną natychmiast. Bonum nomen est plusquam divitiae multae!

Odparte są zarzuty: w moich pamiętnikach „Pod wozem i na wozie“, „La calomnie est l'arme des laches“ p. Fougere, „Incartamento“ hr. de Bresson, „Sąd Honorowy i Wyrok“ Redaktora Croisier, „Jury d'Honneur“ tegoż autora w Montreux (1925), wyroki sądów w San Remo i w Montreux. Udowodniłem i będę udowadniał prawdę, posługując się w potrzebie 82-ma dokumentami, zalegalizowanymi przez rejentów i państwa odnośnie; nimi też jestem gotów służyć każdemu sumiennemu badaczowi, jak to uczyniłem wobec J. E. Ks. Arcybiskupa Jałbrzykowskiego przed objęciem misji nad Dźwiną. Będą one figurowały i w Sądzie Okręgowym Wileńskim, bowiem na rozkaz mej władzy składam zażalenie na prasę wileńską nieuczciwą, za zniesławienie.

Zastrzegam się jednak przed Sz. Czytelnikiem, iż piszę niniejsze memorandum nie w celach rozgłosu, ani też mając na względzie jakąkolwiek karierę (broń mnie Boże od takich pretensji — mam już lat 67), ale tylko dla tego, by plamę na sukni duchownej nie zostawić i jej podejrzeniami nie szargać.

Moja kalwarja, jako obywatela i kapłana, jest w przeszłości niezwykłą. Na szczęście Bóg mi dał energję, zamiłowanie do pracy i charakter niezłomny. Po długim zmaganiu się z wrogiem, ukrytym i silnym, kołataniu do różnych osób w kraju i zagranicą, przy poradach Syndykatu Prasy w Warszawie, ku zupełnej mej satysfakcji, zostałem całkiem zrehabilitowany a moi przeciwnicy, jak sprawiedliwość nakazywała, potępieni, napiętnowani.

Zgłębiając całość i powoli, analizując fakty o mej misji nad Dźwiną, Sz. Czytelnik w sumieniu całkowicie z opisu szczegółów poniżej raczy też przekonać się czego są warte zarzuty mnie czynione.

Oczywiste prasa — to siła! Ona może potępiać tych, którzy załamują życie ludziom pracy, ale jeszcze bardziej może szkodzić, gdy nią kieruje nieuczciwy; — zamordować niewinnego publicznie, skierować opinię na tory niebezpieczne.

Etap ostatni napaści na mnie w prasie białoruskiej, rosyjskiej, nie katolickiej polskiej w Wilnie jest dla mnie, jak i dla każdego bezstronnego, wstrząsający i oburzający, — i to mnie zmusza wtajemniczyć publiczność w szczegóły, które towarzyszyły mnie zagranicą i nad Dźwiną.

Od czasu, gdy pisałem moje pamiętniki „Pod wozem i na wozie“, upłynęło lat 17-cie. Czytelnik spotykał się kiedy niekiedy z artykułami „pro i contra“, jak to było w r. 1922 (patrz „Rzeczpospolita“ i Hofmokla-Ostrowskiego „Moje obrońny Warszawskie. 1926 r. str. 123“, Patrz „Myśl Niepodległa“ z 18 III. 1922 r.) lub ostatnimi czasy: „Białoruskaja Krynica“, „Wilenskoje Utro“, „Kurjer Wileński“, „Sielańskaja Niwa“.

II. Na Kresach.

Należę do ludzi na świecie, którymi się opiekuje często i nie proszona o to prasa lewicowa. Z jej opowiadań nie można „ani weź“ zrozumieć kim jestem; czy pracujący dodatnio, czy ujemnie. Pióro złośliwych posługuje się mną jak filmem do kinematografu.

By zorientować Czytelnika przypomnę pobieżnie historję mojej przeszłości.

Rodzice moi mieli swoje posiadłości w Nowogródzkim, za udział w ruchawce w 1861 roku byli skazani na Sybir, wskutek czego zbiegli do Warszawy, gdzie się urodziłem w 1861 r. a potem ukrywali się na Litwie.

Wracając z Petersburga, po raz pierwszy zatrzymałem się w Wilnie, aby pomodlić się przed cudownym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Tu czułem się tak mocnym, jak nigdy przed tem. Tu poraz pierwszy zetknąłem się z pomnikami historycznymi. Zwiedziłem kościoły, ruiny zamku Gedyminowego i romantyczne okolice miasta. W Kalwarji obszedłem kaplice, rozsiane po uroczych lasach werkowskich. W Wilnie, w Kalwaryi i wszędzie spotykałem ślady barbarzyńskiej ręki moskiewskiej. Niema świętości, ani pamiątki historycznej, którejby krwawa ta ręka nie splugawiła.

Kościoły św. Michała, Franciszkański z kaplicą pierwszych męczenników — zapieczętowano; inne zaś na cerkwie przerebiono; uniwersytet, pałac biskupi, wiele domów kapitulnych. pałaców, związanych z historją Wilna, skonfiskowano i zamieniono jeżeli nie na koszary, to na więzienia lub urzędy. Barbarzyński rząd nie cofnął się przed niczem, aby przekonać Polaków i Litwinów, że Wilno — to „iskoni ruskij gorod“. W Wilnie odezwały się we mnie całą siłą uczucia patryo-

tyczne, — uświadomiłem sobie swoje powołanie. Stanęły mi przed oczyma tysiące ofiar, które zginęły tu z ręki Murawiewa, lub długo, długo dźwigały kajdany niewoli w tajdze syberyjskiej. Miałem wrażenie, że wzywają mnie do pracy głosy męczenników biskupów Krasieńskiego i Łubieńskiego, — zamordowanych ks. Iszory, Maćkiewicza, — Platerów, Starzeńskich, Wołkowiczów, Dąbrowskich, Kalinowskich, Kołyszaków i wielu, wielu innych. Jakiś głos wewnętrzny wołał do mnie: „Oto gleba, którą powinienes w pocie czoła uprawiać, zaorać i zasiać wzniosłymi czynami“!...

Wykształcony przez ś. p. ojca złożyłem egzamin w 1893 r. do Seminarjum Duchownego w Wilnie. Czasy to były okropne. Destrukcyję moskiewską było znać wszędzie. Rusyfikacja nas zalewała. Za odpieranie jej patryoci szli na Sybir. Obrąłem stan duchowny nie tylko z powołania, ale i w celach ideowych: ambona bowiem dawała możność wywierania wpływu na lud.

W latach 1897-1900 byłem wikariuszem w Niemenczyźnie i Lidzie, skąd, za spalenie obrazu Aleksandra Newskiego, zawieszonego w kościele w Lidzie, zostałem usunięty do Nowych Trok, wreszcie do Dawgieliszek, a stamtąd wywieźli żandarmi na rok do klasztoru w Grodnie. Oczywiście, iż prześladowania Moskali za katechizację, szkoły polskie „tajne“, przymusowemi rekolekcjami u Franciszkanów nie zakończyły się. W 1900 r. zwiedziłem Rzym, gdzie Leon XIII łaskawie raczył udzielić mi wszelkich przywilejów misjonarskich, a ś. p. ks. Biskup Zwierowicz, gdy z Rzymu wróciłem, zaszczycił mnie krzyżem złotym z napisem: „Niezapomnianemu księdzu Józefowi Borodiczowi“.

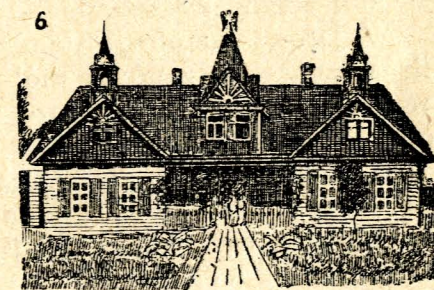
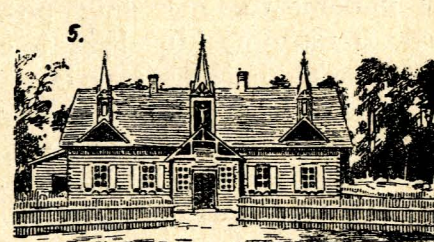
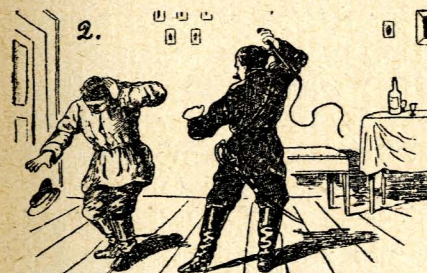
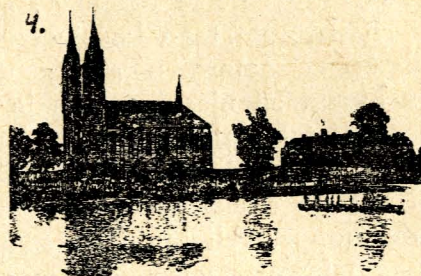
Rząd carski przez półrocze odmawiał mi posady. Siedziałem ten czas przy kościele św. Jakuba w Wilnie, nie wolno mi było nawet Mszy św. publicznie odprawiać.

Ordynariusz Wileński posłał mnie do Żośli w charakterze wikarego, a gdy chory ś. p. ks. prob. Kibelis odjechał do Sławuty, zastępowałem go i kościół tam zbudowałem.

Z Żośli byłem posłany jako administrator do Kluszczań, gdzie kościółek drewniany o pięciu cebulkowatych wierzchołkach i plebanja w ruinach zaprzatnęły mi lat kilka. Tam zaskoczył mnie manifest carski z r. 1905 i tam, nietylko udało mi się odbudować kościół, i plebanję w stylu gotycko-zakopiańskim, ale oczyścić ze schyzmy swoją i świrską parafję. usunąć cerkiew w Żeladzi, gdzie obecnie stoi piękny kościół.

Z Kluszczań w r. 1905 J. E. Ks. Arcybiskup Ropp skierował mnie na pracę do Dziśnieńszczyzny. W 1863 roku rozjeżdżali po Białej Rusi smutnej pamięci misyonarze-pro-

pagatorowie prawosławia, książę Chowański, tatar Jakóbowski, i popi. Lud przywiązany do kościoła, chciał własną piersią bronić kościoła i do ufundowania tam cerkwi nie dopuścić. Oczywiście wobec przemocy i okrucieństwa rządu nie na wiele się to zdało. Murawjew przysyłał kozaków, którzy, zmasakrowawszy okropnie lud katolicki, tysiące pognali na Sybir, wielu



1. Zaszczepianie prawosławia nad Dźwiną za czasów Murawjowa. 2. Kara za uczęszczanie „opornego“ do kościoła. 3. Policja zamyka z nierogacizną prawosławne kobiety za uczęszczanie na rekolekcje do Mior w 1906 r. 4. Nowy kościół i plebanja w Miorach. 5. Dom dla kościelnej służby tamże. 6. Nowa plebanja w Kluszczańach.

wtrącili do więzienia. Straszne to były czasy, kiedy żołdacy byli panami sytuacji, gwałcili i hańbili niewiasty, bili i mordowali mężczyzn, rznęli i zjadali bydło, zabierali sobie, co miało jakąś wartość, sprzedając za bezcen żydom, a domy paląc bez litości. Opornych zmuszano nahałkami do posłuszeństwa, albo na śmierć zarąbano. To okrucieństwo i barbarzyństwo wyludniło na znacznej przestrzeni okolice i utorowało drogę dla prawosławia, które utrwalili kozacy.

W Miorach, na miejscu ruin 400-letnich drewnianego kościoła, byłem zmuszony pod odkrytym niebem rok cały Mszę św. odprawiać, kazać i administrować św. Sakramenta ludowi. Tam, gdzie carat dziesięć kościołów na cerkwie zamienił, a lud na schyzmę przepędził, rekolekcjami, kazaniami i procesjami wiele dusz Kościołowi przywróciłem, kościół i plebanję zbudowałem. W dzień wyświęcenia tegoż kościoła, zmusiły mnie rządy carskie przenieść się na probostwo do Sobotnik.

Kolatorem tego kościoła był sławetny hr. Ignacy Korwin-Milewski. Zatarg o groby z linią drugą Umiastowskich a z ludem za niesubordynację były już przez Hr. posunięty bardzo i tak dalece dlań „zaszczytny“, że gubernator Lubimow, uznając go za męczennika lojalności względem caratu, dał mu do straży kilkunastu strażników policyjnych. Ci dzień i noc honorowali hrabiego swą obecnością.

Ponieważ z Dziśnieniszczyny miałem trafić jako poseł do parlamentu, naczelnik powiatu wszczął proces przeciw mnie o rzekome bluźnierstwa cerkwi prawosławnej, a p. Stołypin zesłał mnie na trzy lata nad Wołgę, a to za odezwę hr. Milewskiego, którą podstępnie wydrukował w Krakowie i obrazę Szambelana carskiego, który swą szambelanję zawdzięczał pomnikowi Katarzyny w Wilnie.

Miałem być skazany na deportację do Syberji, ale osobiste wyjaśnienie powodów do zatargu z owymi moimi oskarżycielami złagodziły satrapę.

W Jarosławiu otrzymałem pozwolenie nie tylko odwiedzić Wileńszczyznę, gdy umarł mój Ojciec, a hr. Milewski procesował, ale i na duszpasterstwo w Rybińsku nad Wołgą, gdzie z ofiar publicznych, jak w Miorach, zbudowałem przepiękną świątynię. Hr. Tatyszczew, słysząc, iż ja, za pozwoleniem ś. p. Arcybiskupa Wnukowskiego, nad Wołgą rozwinąłem misyjną pracę i Rosjan kazaniami w ich języku nawracałem, w porozumieniu ze Stołypinem osadził mnie w Agłońskim klasztorze.

Nie był to rygor w Agłonie jak w Grodnie. Ziemianie, szczególnie hr. Platerowie i Mohlowie, ciągle mnie u siebie gościli, ale i tam nie dłużej półrocza bawiłem. Sąd w Grodnie za „znieważenie cerkwi“, a w Pskowie za „bałamucenie prawosławnych i niewyjawienie tego, co ci nawróceni na spowiedzi mówili“ skazał mnie na ciężką i długą „pokutę“ w twierdzy Dynaburskiej.

Pan Bóg uratował mnie w drodze do fortecy. Przybyłem szczęśliwie do Krakowa. Żołnierz carski za jednego rubla na pograniczu salutował mnie i zegnał na długo odjeżdżającego z kraju. Ucieczkę ułatwił ks. prob. Czok.

W Krakowie, studując filozofję na Uniwersytecie Jagiellońskim, obsługiwałem zakład 150 sierót w Pawlikowicach. Był on wystawiony na sprzedaż za długi, a dzięki moim zabiegom i nawoływaniom, publiczność dała środki nie tylko na spłatę weksli, ale i na wykwintne inwestycje.

Po ukończeniu studjów byłem zaproszony przez kolonję polską na Riwierę francusko-włoską. Tam okazał się wielkim przyjacielem Polaków J. E. Ks. Biskup Daffra, mąż wielkiej nauki i pobożności. Za pozwoleniem Ordynariusza Wileńskiego, J. E. Ks. Biskupa Michalkiewicza, przyjął on mnie do swojej djecezji jako przymusowego emigranta, zorganizować polską 7-mio tysięczną parafję upoważnił i tę obsługiwać w San Remo przy kościele św. Rocha polecił.

Na wykończenie tej świątyni kolonja polska, „ad hoc“ Komitetowi wyłonionemu, złożyła 5.343 lirów i 95 centimów. Pozostała suma od remontu tegoż kościoła 2.464 liry. Komitet w dniu rozwiązania się 1-go maja 1914 roku zaofiarował mnie jako honorarjum, a wobec mojej odmowy, złożył na ręce J. E. Ks. Biskupa Daffry do uznania.

Kościół Św. Rocha w San Remo, za miastem i na górze, był nieprzystępny. Rodzona moja siostra, Szkultynowa Anna, nadesłała z Ameryki sto tysięcy lirów i prosiła o zbudowanie willi „Polonia“. Za jej zgodą, przy willi zbudowałem kościółek gotycki, niewielki, ale przy „Giardino Imperatrice“ — centrum pierwszorzędných 40-stu hoteli. Tu założyłem, dotąd istniejące, Biuro informacji gratisowych, redakcję „Polak na Riwierze“, bibliotekę, a w czasie wojny, Komitet Narodowy Polski (1915) dla wydawania paszportów polskich, a to z upoważnienia p. ministra Orlando.

Na willi tej kazałem (1915) odmalować dużego Białego Orła i tego emblematu używałem do r. 1917 na pieczęci Komitetu Polskiego. Zwrócił na to uwagę ambasador rosyjski Ghiers. Przybył osławiony p. J., agent Ochrony carskiej. Wysłano mnie do punktu koncentracyjnego do Florencji, potem do Hiszpanji, gdzie zadenuncjował tenże p. J., iż nie jestem kapłanem, — skierował mnie wprost do Odesy, jak mówi Polska Misja Wojskowa, na rozstrzelanie.

Okręt „Manuel Calvo“, wiozący mnie do Odesy, natknął się na minę. Uratował okręt angielski i przywiózł mnie do Konstantynopola. Osadzonego w więzieniu Konsul Generalny Polski, p. Antoni Świerzbński, wyprowadził i zainstaltował mnie w polskiej kolonji emigrantów w Adampolu nad Bosforem. Tam rodacy nie widzieli kapłana przez 4 lata. Przygotowałem działwę do I-ej Komunji, a lud do uroczystości po-

trójnej, bo, oprócz święta Wielkanocnego i I-ej Komunii, obchodziliśmy najsolenniejsze zmartwychwstanie Polski i witaliśmy tam naszego opiekuna p. Świerzbńskiego. (1919 r.).

III. W Kraju i znowu zagranicą.

Po pracy na ziemi sułtańskiej, odjechałem do Warszawy w charakterze Pierwszego Kurjera Dyplomatycznego ze Wschodu z polecenia tegoż p. Świerzbńskiego.

Na granicy, spotkanemu oficerowi polskiemu, z radości guzik z Białym Orłem oderwałem i na pamiątkę zabrałem. Upojony byłem widokiem naszych wojsk, urzędów i wolnością Stolicy, chociaż bolałem na widok nędzy, w jaką wtrącili nas Niemcy, Moskale i Austrijacy w czasie tej wojny światowej.

Gdy w M. S. Z. doręczyłem siedem waliz dyplomatycznych i poufne wiadomości, okazano mi depezę: rzymscy moi wrogowie denuncjowali, iż rzekomo jestem agentem bolszewickim. P. Minister śmiał się niemało i powiedział, że, gdyby istotnie tak było, to walizy dyplomatyczne byłyby powędrowały do Moskwy zamiast Warszawy.

Idąc za radą Nuncjusza Apostolskiego, Mgr Ratti, obecnie Ojciec Św. Pius XI, i Prezesa Ministrów, p. Ignacego Paderewskiego, wraz z ich listami i w paszport dyplomatyczny zaopatrzone, odjechałem na Riwierę.

Poruszyłem całą kolonję polską, by słała ofiary na głodną Polskę. Moja siostra posłała 150 tysięcy franków, które skierowała przez Bank Spółek Zarobkowych i ja, z polecenia Szkultynowej, wręczyłem Ministrowi S. Z. Patkowi 60 tysięcy franków (patrz: Kurjer Warszawski, 10 maja 1920 r.).

P. J. nie chciał za nic mego powrotu do San Remo. Znalazł on przyjaciela w bratanku sławetnego Katarzyńca-szambelana. Ten wpłynął wraz z Konsulem na Kardynała Gaspariego, a mając list od Sekretarza Stanu, domagali się oni u Ks. Biskupa Daffry, by ten mnie zasuspendował. Twierdzili oni, że jakoby willa Polonia i kościół są zbudowane z ofiar, że je rzekomo przywłaszczyłem. Pasterz fałszom zaprzeczył, i napisał: „A tutti pero altamente risposi, che la chiesa era proprietà del Borodicz, e che io non potevo privarlo dal suo diritto e che ancora non conoscendo in lui reato alcuno non potevo, non dovevo e non volevo procedere contro di lui“ („Wszystkim z góry odpowiedziałem, że kościół jest własnością ks. Borodicza, i że ja nie mogę pozbawiać jego praw

własności, że nie znając dotąd żadnych wykroczeń tego kapłana, nie mogę, nie chcę i nie powinienem go karać“).

Wystąpił w obronie mojej Mgr. F., Audytor św. Roty. Podłożył mu eksagent Ochrony grzebień damskie pod poduszką, skarżąc go o „niemoralność“, ale nasz Episkopat Polski stanął w obronie niewinnego. Watykan oszczerstwa odrzucił.

Moi wrogowie upoważnili tedy p. Czelige, gruzina, by ten, kosztem konsulatu, zaskarżył mnie o przywłaszczenie kościoła i willi — sąd w San Remo oszczercę potępił. Przeciwnik mój zjawił się do Nicei i tam zadenuncjował, że jakoby ja zajmuję się przemycańiem brylantów z Francji. Polegając na jego słowach, Żyd Bernard, prefekt Nicei, w 24 godziny wysiedlił mnie do Szwajcarii. Tu siedziałem 5 lat i omal czwartej banicji nie było. Posłałem paszport do posła w Bernie prosząc o prolongatę. Okazało się, iż ten jest bliskim krewnym mego wroga — zaanulował mi paszport i 5 miesięcy musiałem kryć się w Lozannie, w szpitalu Dra Roux, by uniknąć ekspulsji dla braku dowodu osobistego. Mój wróg atakował tembardziej.

Idąc za radą Syndykatu Prasy Warszawskiej, całą sprawę poruczyłem Sądowi Honorowemu. Potępieni i napiętnowani przez arbitrów uciekli się do anonimów. Jeden z tej paczki, a był to, niestety, kuzyn panów Janiszewskiego i Modzelewskiego, został zdemaskowany przez sędziego śledczego i do odpowiedzialności pociągnięty za oszczerstwa i anonimy, a wyrok w odpisie mnie doręczony. Rady jednak nie było. Mój kolega z uniwersytetu, Matijasik, redaktor „Głosu Narodu“, mnie odwiedził, sprawę zbadał, zagroził ogłoszeniem skandalu w pismach zagranicą. Napisałem do p. Wice-ministra Karola Morawskiego i ekspresem dostałem zawiadomienie z M. S. Z. o nakazie Bernowi, który jednocześnie nadesłał paszport.

Były robione trudności i mojej siostrze w San Remo. Konsulat polski zaanulował jej również paszport, wydany przez Polskiego Generalnego Konsula w Sydney, i zadenuncjowano ją, że jakoby ona jest bez paszportu. Telegrafowała ona do M. S. Z., posyłała pieniądze na opłacenie depezy — odpowiedzi nie było, a tu w międzyczasie robiono nacisk na komisarza policji p. Alessandro, by ten wysiedlił z Włoch moją siostrę, która dotąd tak mężnie broniła honoru i mienna, która przez miłość ku Polsce, swego 17-letniego jedynaka pod Warszawę posłała, gdy bolszewik Stolicę zdobywał. Komisarz zawezwał ją, dał tydzień czasu. Ale cóż miała po-

cząć, kiedy moi wrogowie w swym raporcie radzili, iż należy postawić Borodiczów w takie okoliczności, by zmusić ich do dobrowolnego zrzeczenia się praw własności w San Remo! Mecenass Silvio Dian poradził jej wziąć paszport litewski. Tak zrobiła, a to dało jej możność do walki z oszczercą — wygrała procesy.

Gdy siostrę prześladowano, mnie nie dopuszczano do do powrotu do Włoch. Ta niesprawiedliwość spowodowała to, iż hr. de Bresson po włosku, a p. Fougier po francusku, wydali broszury w obronie mojej i siostry, a że wtenczas i wyroki sądowe rehabilitacyjne ogłoszono, doręczono je p. Mussoliniemu, który zadeszował do swego Konsula Generalnego w Lozannie, p. Luchiesi, polecał zawiadomić mnie o zrehabilitowaniu we Włoszech.

Wróciłem do San Remo. Wkrótce potem zrehabilitował mnie i rząd francuski, a to zawdzięczając księżnie de Chimay. Odzyskałem tą drogą mój kościół i mienie, po długim zmaganiu się z wrogiem ukrytym, silnym i szkodzącym tajnymi dyplomatycznymi sposobami.

Ś. p. Arcybiskup Cieplak doradzał mnie zaraz wracać do Kraju; ale wiedziałem, że moi wrogowie tylko tego pragnęli, by dalej mieć mnie od San Remo; byliby oni zakneblowali mi usta, a p. Hofmokl-Ostrowski opinię stosowną, na życzenie swej klienteli, był już urobił. Muszę na tem miejscu podziękować p. Zaleskiemu, który, będąc posłem w Rzymie i ministrem w Warszawie, dał świadectwo prawdzie.

Moi parafjanie Miorscy, pomimo różnych przeszkód, skierowali swe podania, podpisane przez 5000 osób, do p. Ministra Spraw Wewnętrznych. Ten nadesłał akt obywatelstwa do San Remo, ułatwiając mnie przybycie do Kraju.

IV. Leonpol.

Na prośbę Mioran, po 20 latach, dnia 15 czerwca r. b. zjechałem do Wilna, a w towarzystwie p. Szarkowicza do Mior. Czekają mnie niespodzianki. W Drui, na stacji kolejowej, spotkał mnie wielki tłum i odprowadził do kościoła OO. Marjanów, gdzie kazaniem i Mszą św. go przywitałem. Pośpieszyłem i do Mior. Na drodze zastałem 38 bram z kwiatów i mieszkańców wsi pobliskich z chlebem i solą. Przed Miorami niezliczona masa ludu, nietylko z Mior, ale i z sąsiednich parafji, oczekiwała. Przybyłem z ludem do kościoła, witany przez swoich b. parafjan i Żydów. Pomodliłem się na grobach moich Rodziców, pogrzebanych pod prezbiterjum

tegoż kościoła, a potem z ambony do ludu ze łzą wzruszenia mówiłem.

To niezwykle witanie skromnego księżulka, przybywającego w gościnę do b. parafjan z przed 20 laty, nie uszło uwagi J. E. Metropolity Wileńskiego. W Dawgieliszkach J. E. zatwierdził moją prośbę o „wakacje“ w Leonpolu, gdzie, będąc w Miorach, dostępu nie miałem. Oczywiście, byłem bardzo a bardzo wdzięczny za tak wielkie darzenie mnie zaufaniem, i natychmiast odjechałem na misje do Dziśnieńszczyzny.

Spędziłem nad Dźwiną dwa i pół miesiąca. Odprawiłem z ludem 6 dni rekolekcji, przygotowałem dzieci do I-ej Komunji św. Miałem okazję zetknąć się i obcować z parafjanami kresowymi różnych kościołów i cerkwi. Zamieszkuje ten lud na przestrzeni 350 klm. kw., na której znajduje się siedem cerkwi i nie było ani jednego kościoła. Zwiedziłem całą tę przestrzeń, badając stan moralny i polityczny. Przyszedłem do przekonania, iż poziom religijny i polskości były lepsze przed laty 20, niż obecnie. Za czasów Polski nikt tu nie przyczynił się do nawrócenia schizmatyków, a są to prawosławni, którzy z dziadów, pradziadów i ojców katolickich noszą szkaplerze i różańce, modlą się z ksiązek polskich i śpiewają pieśni polskie na pogrzebach,

Jakkolwiek popi i niektórzy z prawosławnych na pograniczu Dźwiny nauczyli się mówić po polsku od naszych żołnierzy, są oni jednak o poglądach niekiedy bolszewickich, wrogami wielkimi Kościoła i Polski. Próbowałem przekonać ich o konieczności zgodnego pożycia z nami i lojalności względem Polski. Są to ignoranci pod każdym względem, zaprzeczają nawet faktów historycznych, za fałsz uważają i to, że ich ojców carat, okrutnie katując różgami, jednych zamordował (jak w Leonpolu 7-miu), drugich zmusił na prawosławie i zamienił kościoły na cerkwie (p. str. 3). Gdy im dowodziłem, że prawosławie zgubiło Rosję i zrodziło Bolszewję, morze łez i krwi niewinnych wylało, oni dali do zrozumienia, iż wolą być z Bolszewikami, niż trzymać z Polską. Te ich przekonanie potwierdzają fakty. W jednej tylko parafji Leonpolskiej prawosławnej, gdy tu zjechali posłowie Miotła, Rak-Michałowski i Taraszkiewicz, założyli 16 jacejek—hurtków. Nawet między kapłanami katolickimi posłowie ci znaleźli paru zwolenników. Nietylko zaczęto śpiewać „Światy Boże“ po kościołach, ale wydzierano książki polskie z rąk modlących się i zamieniano je na białoruskie. Lud twierdzi, że on jest „polskiej wiary“ i że uważa za skandaliczne śpiewać po ko-

ściołach w języku rosyjskim, gdy jego ojcowie woleli różgami być sieczeni, niż, na żądanie carskich siepaczy, profanować kościoły takim śpiewaniem. Jeden parafjanin z Drui powiedział księdzu: „Dlaczegoż to księża, wydzierający nam polskie książki, brewiarza i mszału używają łacińskich? Niech i nam będzie wolno ofiarować Bogu pierwociny. Przecież nauczyła nas matka pacierza, polską książkę dała, a tej obroniliśmy i przed Moskałem!...” Był tu i p. oficer N., który prezentował broń przed popem i pędzał żołnierzy polaków do cerkwi. Kazał on wyciąć z cmentarza katolickiego w Leonpolu sosny i ten piękny budulec zaofiarował swemu przyjacielowi popowi. Za czyny „heroiczne” pop Leonpolski zaofiarował mu swą córkę arcyprawosławną, a podczas ślubu w cerkwi urządził iluminację. P. N., przez wdzięczność popowi, ochrzcił swoją córeczkę w cerkwi.

W gminie cereskiej, za czasów wójta Truszkowskiego, rozdawano odezwy komunistyczne włościanom. Kilka z tych odezw trafiło w ręce osadników wojskowych z Koła Osadniczego Krumowszczyzny, a ci okazali je publicznie na jednej z rozpraw u Sędziego Pokoju w Drui, jako dowód nielojalności wobec Polski. Wójt został przeflancowany do Leonpola. Za nim przybył komendant policji, p. Orkisz, w charakterze przodownika P. P. w Leonpolu. Ta trójka wykazała większą dbałość o rozwój gorzelnictwa w Kraju, niż o jego bezpieczeństwo. Skutki były zadziwiające. P. N. wojsko nasze nie ścierpiało. Kuratorjum Szkolne przygarnęło go w charakterze kierownika szkół polskich w Dukstach. Pan Truszkowski odjechał do Plus, — już rozwiedziony z żoną, — a p. Orkisz zaswatał się do córki drugiej popa i wysługiwał się, by przyjęto go na zięcia.

Przyszła zmiana i na batiuszkę. Został przeniesiony na archimandrytę, a jego następcą p. Surwiłło (ojciec popa Czereskiego) łaskawie przygarnął do siebie osieroczonego p. Orkisz. Smutno mu było, bo Leonpolanie, korzystając z odwiedzin p. Wojewody Raczkiewicza i p. Generała Minikiewicza, zanieśli skargę na p. O. za zniewalanie kobiet. P. O. był u mnie w tej sprawie, ale świadkowie naoczni zbrodni nie pozwolili inaczej myśleć o p. O. Prosili ludzie o wysiedlenie z pasa pogranicznego: p. Saffkę-Żugiera ławnika, archimandrytę Morozowa, popa renegata z Czeresi i drugiego z Uźmian.

Pod względem oświaty jest tu źle i bardzo źle. W szkołach polskich są nauczyciele rosjanie, a nawet synowie i córki popów. Stan moralny i materialny ludu okropny. 150

lat niewoli, 75 lat prześladowania Kościoła i polskości przez carat, szczególnie nad Dźwiną, pogrążyły go w ciemności egipskie. Wydarto mu cnotę, patriotyzm, a zaszczerpiono przemocą prawosławie: rysyfikowano go, a w konsekwencji — kradzieże, podpalania przez zemstę, ojcobójstwa, pijatyka, rozwiązłość, sodomja i choroby nieuleczalne trapiły go.

Gdy ten lud, zbryzgany krwią, ciemiejąc za Dźwinę odrzucił a przybyły tu wojska i urzędy polskie, — prosił on o rewindykację kościołów lub zapomogę. Władza zwierzchnia jednak nie uczyniła zadość tej prośbie.

Ta źle zrozumiana pobłażliwość dla „mniejszości” w praktyce okazała się zgubną dla Ojczyzny: pograniczni żołnierze zarazili się moralnie i fizycznie. Pop w swej jednej tylko parafji liczył 16 jaczejek, a wieś prawosławną Czuryłowo związała polskich żołnierzy i gdyby nie ratunek okazany przez katolików, byłaby wydała bohaterów Ojczyzny Bolszewikom.

Tutaj, a nie gdzieindziej, Szapiel, Miotła et consortes odrywali Kresy ku Rosji. Zwolennicy i agitatorzy bolszewizmu posługują się tu i protegują, rozrzucając „Sielanskaja Niwa”, „Wilenskoje Utro”, Hromadowską „Nasza Prawda” i szczególnie „Biełoruską Krynice”, która przekracza wszelkie granice lojalności.

Tak w N. 36 „Krynica”, potępiając mnie, na szpalcie obok pisze: „Białorusy pawinny pomnić, szto, ich doroha razem z Litoucami”.

Jest garstka warcholów i wśród ziemianstwa. Zaledwo zamieszkałem pod dachem, jaki znalazłem u p. Kazimierza Korzeniewskiego, który na swym domu przy ulicy napisał: „Aleje Piłsudskiego”, zawiesił w gminie portret pana Marszałka Piłsudskiego zamiast p. Wojciechowskiego; zaledwo odezwałem się w czasie kazań do żołnierza i ludu, zachęcając naśladować w obronie dobra Ojczyzny i ją zasłaniać szczególnie tu, na pograniczu, własną swoją pierśią, na wzór Piłsudskiego — cała ta banda opornych rządów p. Marszałka stanęła mi w poprzek drogi i wysłała delegata swego z uprzedzeniem, że takich twardych mów ona nie ścierpi.

Zaledwo lud ofiarny wyciął sosny na własnych grobach na swym cmentarzu, p. Orkisz z p. Truszkowskim oraz p. Euzebjuszem Łopacińskim stanęli w obronie pretensji podszeptanych popowi; twierdzili oni, że ja sprofanowałem cmentarz, krzyże i pomniki połamałem. Posłuszna prasa, szczególnie gdy agitatorzy zebrali potrzebne do agitacji sumy, a do Warszawy odjechał archimandryta Morozow, — alar-

mowała „urbi et orbi“, że jakoby Minister Oświaty, p. Dobrucki, miał upoważnić Morozowa przybić do krzyża katolickiego w Czeresi przecznicę i jeszcze raz wyświęcać. Zaczęto fabrykować skargi przeciw mnie — 85 ich wysłano do różnych władz. Część tego ziemianstwa niepodobało się i to, że nawoływałem lud do budowy aż sześciu odrazu kościołów. Na szczęście takich „inteligentów“ było tam nie zbyt wiele. Nie cieszyli się oni zaufaniem ludu, który ich uważa za zdegenerowanych, o dwu klasowym wykształceniu i mieniających Wiarę katolicką jak rękawiczki. Szczególnie jeden z tych „towarzyszy“ zasłynął swą ekscentrycznością, gdy rozwiódł się z żoną, biegał za Esterkami, po których śmierci z żydkami odsiadywał żałobę na popiele, a po kilku dniach stał się adoratorem wiejskiej dziewczyny prawosławnej, a z nią i sam gorliwym prawosławnym. A jednak ci „inteligenci“ dali się nam we znaki, — przeszkadzali w czem mogli i klepali po ramionach p. Orkisz, gdy ten podchmielony zbyt nam dokuczał. Wszyscy razem wmawiali nam, że od nich tu nasz spokój i bezpieczeństwo zależy, bo z nimi, a nie z nami, trzyma jakoby p. Januszkiewicz starosta i p. Kubarski, komendant powiatowy w Brasławiu. Gdy Sawkę Żugiera tentowano wysiedlić za częste pielgrzymki za Dźwinę i nie zapomniane jego doktryny anarchistyczne, zakpił on z nas, bo p. Starosta, pomimo protestów parafji, na ławnika go zatwierdził, wraz z Dziemidzionkiem z Czuryłowa, gdzie więżą naszych żołnierzy.

Byli i pisarze po gminach, co wpajali Polakom, że muszą oni być lojalnymi względem jacejek, wpisywali przemocą w dowodach osobistych „Białorus“.

V. Budowa Kościołów.

Pojawienie się tu po 80 latach pierwszego kapłana przerwało czarne sny caryzmu, do którego dotąd była ukołysane nawet nasza miejscowa „inteligencja“, a popi i ich adepci zerwali się na mnie, jak czarne kruki, spłoszone celnym strzałem — wszystko tu się zakotłowało, jedni dnie i noce ze mną pracowali, budując kościoły, drudzy wysilali się, by nie dopuścić do tego; w tym celu skierowali do różnych władz 80 skarg i artykuły oszczerce do „Krynicy Białoruskiej“ „Kurjera Wileńskiego“ i t. p.

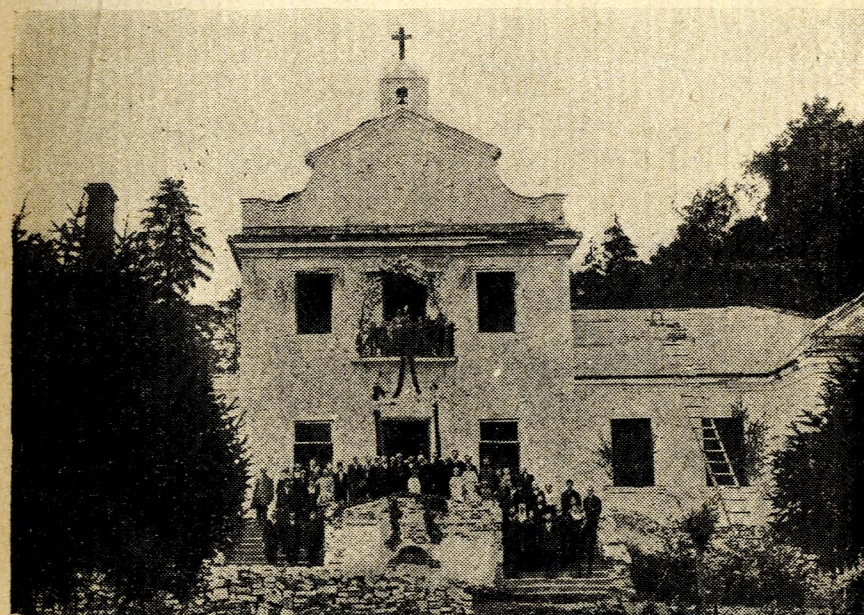
Dochodziły mnie wieści, że planuje się zamach na mnie. Widocznie wrogom moim chodziło o steroryzowanie mnie.

W seminarjum Wileńskim, za czasów ciemnych uczo-

no nas, iż kapłan katolicki powinien nauczać lud wyłącznie religji. To zrozumiałe. Lecz dzisiaj, gdy Polska katolicka zmartwychwstała, dewizą, nie tylko obywateli polskich, ale i duchowieństwa winno być „Bóg i Ojczyzna“.

Moja ta praca intensywna, w duchu katolicko-obywatelskim, spowodowała zwolenników wiele: kilkutysięczny tłum zażądał, by zamknąć cerkiew i zwrócić takową jaknajprędzej katolikom.

Trzeba przyznać rację katolikom: 1) schyzmatycy posiadają 7 cerkwi, kiedy katolicy ani jednego kościoła; 2) cer-



Nowy kościół w Leonpolu.

kiew Leonpolska jest to dawniejszy kościół, 3) w cerkwi tej znajdują się obrazy kościelne, figury, ołtarzyki, chorągwie, kielichy i aparaty kościelne fundacji Sapiehów i Łopacińskich. Wiele z tych przedmiotów, jako niezgodne z rytmem schyzmatyków, poniewiera się na strychu cerkwi; 4) siedem grobów ofiar, zasieczonych Polaków przy odbieraniu kościoła na cerkiew, pobudza ten lud do odebrania tejże świątyni; 5) Tłum składający się z 10500 osób, dla braku kościoła był zmuszony słuchać Mszy św. tuż przed cerkwią na placu „Trzeciego Maja“, gdzie skwar słońca lub deszcze, wiatry, zimno i cerkiewne dzwony nam przeszkadzały; 6) Napisy łacinne na dzwonach cerkwi „Konstancja i Franciszek Święcicy“.

Warunki materialne są tu okropne. Lud bardzo biedny. Pomimo wpływów, jakeimi cieszyłem się z przed laty 20, kiedy byłem proboszczem w Miorach, i entuzjazmu, z jakim spotykano mnie w Drui, Miorach i Leonpolu, gdy przybywałem z San Remo, z trudem szła budowa świątyń.

Po dwu i pół miesiącach pracy kosztem ofiar ludu i Arcypasterza stanęły wreszcie świątynie: w Leonpolu pod wezwaniem „Chrystusa Króla“, w Bobolowie pod wezwaniem „Św. Andrzeja Boboli“ w Zastarzynicach pod wezwaniem Św. „Józefata“, w Bogudzieńkach pod wezwaniem „Św. Marii Magdaleny“, w Potasznicy pod wezwaniem „Św. Stanisława Męczennika“ i szósty w Leonpolu pod wezwaniem „Matki Boskiej Nieustającej Pomocy“.

Kościóły te miały być poświęcone przez J. E. Ks. Arcybiskupa dnia 6 i 7 września r. b. Gdy na tę niezwykłą uroczystość lud i różne stowarzyszenia zaprosiły Jaśnie Wielmożnych Panów Prezydenta Mościckiego, pierwszego Marszałka Piłsudskiego i różnych gości — nasza „mniejszość“ uczuła się do żywego dotkniętą. Prasa lewicowa ogłosiła „zaburzenia w Leonpolu“.

Zjechały władze: p. Piotrowicz, delegat M. O., p. Rauze, wice-prokurator i p. starosta. Sprawa została wyświetlona.

Post factum jeszcze „Krynica“, „Kurjer Wileński“, „Sielanskaja Niwa“ etc. czerniły mnie i wmawiały władzom, by mnie ukarały „za zbrodnię profanacji cmentarza prawosławnego“ i przywłaszczenie lasu z tegoż.

Materiału miałem więcej niż potrzeba: w porozumieniu z Arcypasterzem zbudowałem kościołów sześć.

Lud złożył w ofierze Komitetowi Budowy Kościołów 3892 zł. a 2500 zł. dodał Arcypasterz.

Jeszcze za czasów Moskali to miejsce w Czeresi, gdzie był kościół katolicki, w pobliżu odgródzonej cerkwi, było pokryte ruiną fundamentów, skąd brano kamienie i piasek. Ze też wygrzebywano i kości tam pogrzebanych, będąc proboszczem w Miorach, udawałem się z ludem, by tam modły odprawiać i szczątki pogrzebać. Podczas mego pobytu w Leonpolu proszono i tam o misję. Była w Czeresi przewaga katolików. Ponieważ kaplicy nie było, uważałem za słuszną Mszę św. odprawiać na miejscu dawnej świątyni. Nikt do tego placu pretensji nie rościł i jakby na urągawisko był opuszczonym od wszystkich.

W dzień Szkaplernej Matki Boskiej, tam, jak tradycja głosi, bywał odpust. W ten dzień pobliska wieś Myśniki, przywiozły piękny krzyż, a ja, gdy postavili na miejsce

b. ołtarza, poświęciłem go i tam, przy ołtarzu prowizorycznym, odprawiłem Mszę św., podczas której przystąpiła działość do I-ej Komunii.

Jakoby pop Surwiłło, syn Leonpolskiego popa, zjawiał się do p. Aspiranta P. P. z pretensją, iż ów krzyż katolicki defiguruje cerkiew i że on nie życzy, aby tam katolickie nabożeństwo było odprawiane. Uwagę popa zwrócił p. Aspirant, że, gdy prawosławni mają cerkwie liczne, nasi muszą po złych drogach udawać się do Dżisny zbyt oddalonej, że i w Azji barbarzyńcy nie zakazują modlitwy. Dlaczegożby Polacy, zbryzgani krwią w obronie Ojczyzny, nie mieliby prawa u siebie modlić się za Kraj i swoich. Pop zawstydzony odszedł, a ja spokojnie odprawiałem Mszę św. połową na tym placu w ciągu dwóch miesięcy.

VI. Rozwózka kościołów i ich składanie.

Przed miesiącem polecił mnie Arcypasterz, abym przybył do Dżisny w dzień jego wizytacji i towarzyszył mu przy zwiedzaniu nowych kościołów. Pragnął on sam je poświęcać. Kościoły były gotowe w parku: pięć wież w swych częściach górnych zbudowane i pomalowane na czerwono, z kondygnacją poniżej dachu białą, w stylu gotycko-zakopiańskim. Same ściany kościołów, wykonane w zrąb, były wykończone. Zapytany p. Orkisz dlaczego tak często do parku zagląda, odpowiedział, iż ma polecenie czuwania nad robotnikami, by poniedziałków angielskich nie świętowali. Zrozumiałem jednak, że on coś innego myśli. Obawiałem się grubszych komplikacji, bo wiedziałem, że p. Orkisz stał się prawie domownikiem i doradcą popa. Odbudowanie kościołów aż sześciu na ziemi, o której Pius IX mawiał Polakom:

„Ściśnijcie garść ziemi waszej, a wytryśnię krew męczenników za Wiarę“, — było mi ponętne. A ileż tam leż po bohaterach i obrońcach Wolności!!!

Na wielkość święta, kościelnego i narodowego, z powodu nietylko przybycia tu po raz pierwszy od lat 80 Arcypasterza, boć i o kapłana było tu trudno, ale i poświęcenia aż sześciu odbudowanych świątyń, zwróciłem uwagę moich parafjan. Zapytany lud, czyby nie należało zaprosić na tę niezwykłą uroczystość, jak tego się domagali osadnicy, wysokich gości z Warszawy, całe moje audytorjum przez podniesienie ręki tę myśl zaaprobowowało, a żołnierze wołali: „I Piłsudskiego!“

Natychmiast wygotowane podania i podpisane przez tyśiące parafjan, frunęły ku Warszawie.

Zawrzało potem wszędy, szczególnie, gdy, mając na względzie przybycie wysokich gości i drogi bez mostów, słynne z grzeskości, rozesłałem specjalną marszrutę urzędowi w Wilnie, Brasławiu, jako też gminom i posterunkom P. P. okolicznym, z prośbą o nakaz zbudowania dróg takich, by samochody mogły nas dojść. Piękne było to zamieszanie: powiat Brasławski i Głębocki zasiał drogi i ścieżki końmi i ludem tu, na naszej polskiej Syberji, — to Sejmik i właściciele dróg ślali faszyny, wieźli piasek, glinę i żwir, by zasytać przepaście i, gdzie mogąc, pobudować mosty.

Jedni się śmieli, drudzy mnie przeklinali za takie niespodziane figle.

Wypadło gorzej z traktem pogranicznym i nad samą Dźwiną. Tu nie tylko nigdy samochodu nie widziano, szczególnie między Uźmionami i Hrygorowiczami, ale i z wozem trudno zjechać i wspinać się w wąwozach. Biedni tam nasi żołnierze, dniem i nocą chodzący, grzęzną i toną w błocie. Jeszcze niedawno ich aż czterech pod wsią Czuryłowo, na trakcie między Drują i Dżisną nad Dźwiną, utonęło.

Pozostawało 10 dni do przybycia gości. Nagle prasa wywrotowa ogłosiła, iż w Leonpolu są rzekome zaburzenia. Dowiedzieliśmy się od przyjezdnych z Wilna, że jakoby są zażądane nawet karne oddziały. Przeciwno komu?

Moi parafjanie rozwozili budulec i stawiali kościoły. Przeszkody za przeszkodami na poczekaniu rosły... Gdy posłałem do Czeresy mech, policja odpędziła wozy od miejsca gdzie krzyż, ludziom, zbierającym się tam na Mszę, jak zwykle w piątek, zagrożono aresztem. Posłany wywiadowca doniósł mi, iż ma rozkaz użycia broni. Rady nie było. A tu zjechało do dworu Zastarzyńców 40 wozów materiału i cieśli. O godzinie 3-ej rano obudzona pani Onożkowa nas pocieszyła. Oświadczyła ona, iż jej mąż ś. p. Władysław pragnął tu mieć świątynię i przypomniała, że ja przed 20 laty, rozbierającym stary miorski kościół, zalecałem nie niszczyć budulcu, by go potem użyć na kaplicę w Zastarzyńcach. Ucieszony jej zgodą i propozycją zbudowania kościoła tamże, kazałem zwieźć cały materiał na pagórek pobliski.

Robota zawrzała. Ciesle kościół składali. Lud, jak mrówki, podawał, niósł, a że dookoła aż 12 wsi prawosławnych, pojawiły się najpierw dzieci oglądać dziwy, a te, obdarzone medalikami, sprowadziły tłumy.

Kościół i ołtarz były gotowe na godzinę 11-tą. Pojawili się i ludzie z Czeresy, usunięci stamtąd przez policję. Prowizorycznie z pośpiechem poświęciłem kościół. A podczas ka-

zania o Zacheuszu patrzę — dwaj Zacheusze z karabinami, — to policja z Czeresy.

Po skończonem kazaniu prosili mnie prawosławni o pozwolenie bywać w tej świątyni. Mówili oni, że im do cerkwi Czereskiej aż 5 klm. złej drogi. Jedna duszyczka zaraz przeszła na katolicyzm. Po Mszy św. pośpieszyłem do Bogudzięk, gdzie też policja molestowała pracujących przy kościele. Wyświęciłem ten, jak i trzeci dom Boży w Potaszn, by mogła policja zakomunikować p. Kubarskiemu, iż już „zbrodni“ dokonano, kościoły — poświęcone.

Potem wszystkiem sądziłem, iż w Leonpolu będę mógł dokończyć kościoły spokojnie, boć tam nikomu do głowy nie przychodziło, by mnie stawiać w tem przeszkody. Czyż nie tak?

Byłem jednak ostrożny. Lękałem się prowokacji — nie ze strony prawosławnych, bo oni byli za tem, a to dla tego, iż w dzień Serca Jezusowego nie dopuściłem moich parafjan odebrać im cerkiew i natomiast obiecałem kotolikom wybudować kościoły aż dwa w Leonpolu, — ale wiedziałem, że niektórzy zbyt alarmowali władzy o rzekomych buntach w Leonpolu.

W sobotę po obiedzie, gdy chwilę zdrzemnąłem, a byłem zmęczony po nocnych wyprawach, by „mniejszości nie drażnić“, powiedziano mnie, że cieśle z 40 wozami materiału jadą na cmentarz. Pobiegłem. Kazałem rozerwać drut kolczasty akurat przed mogiłami 7 męczenników i na tym placu zaczęła rosnać świątynia magicznie. Była godzina 3 po południu, a lud w ten dzień pogodny był w polu, i tylko ci, co to „pańcczyznę“ kościelną odbywali, jak mrowie uwijali się.

W tem zwrócono moją uwagę, że od popa bez czapki i pasa nadbiega p. Orkisz.

Co się stało? Stały się rzeczy dziwne! Okropne! które są opisane w protokole sporządzonym na miejscu wypadków w wieku XX i w katolickiej Polsce. Wypadki te są zbyt bolesne, by je wszystkie na tem miejscu cytować. Zaznaczę wszakże, że oryginały protokołu, świadectwa lekarskiego, jak również i innych dokumentów posiadam.

Po tych strasznych zajściach, gdy spowiadałem mdlejącą kobietę, przechodził p. Euzebjusz Łopaciński, który przed chwilą spotkał p. Orkisz — „zwycięzcę“ i klepał go po ramieniu za „heroizm“. Nie uchylił on kapelusza, ale wybąkał „Komediant“. Nic nowego nie mógł o sobie powiedzieć.

Biedny ludek, spłoszony tem co widział na cmentarzu,

biciem i kopaniem Szarkowicza, groźbami licznych aresztów ukrył się gdzie mógł. Tylko żydzi szabasujący i policja z najeżonymi bagnietami, jak na pobojuwisku, chodzili. Wieczorem nadeszli z pola prawosławni i katolicy. Byli przerażeni tem co zaszło. Jedni i drudzy ukrywali świadków „zbrodni“, a policja ciągle ich szukała, płoszyła. O godzinie rannej odkryła ona w stodole p. Korzeniowskiego, który tam spał z rodziną, boć cały swój domek odstąpił na kaplicę prowizoryczną dla Najświętszego Sakramentu i na mieszkanie dla kapłana. Powleczono nową ofiarę do aresztu. Była to niedziela. Przybył i pan Starosta Brasławski z p. Komisarzem. P. Orkisz podał im listę świadków. Badali. Ponieważ p. Szarkowicz całą noc mdlał od skopania i bicia, poszedłem do p. Komisarza z prośbą o pozwolenie zobaczenia go i odwiedzenia do lekarza. Pozwolenia mi odmówiono. Proponowaną listę 60 świadków i tych wyłącznie, jako naocznych świadków, badać odmówiono. Uważano za wystarczające zbadanie li tylko świadków, których podał p. Orkisz. Oprócz pracujących na cmentarzu nikt nie mógł widzieć zajścia, a to dlatego, że cmentarz był zalesiony i działo się to w kościele. Odszedłem zasmucony w towarzystwie nowego wójta, p. Orłowskiego i administratora m. Leonpola, p. Markiewicza.

W poniedziałek p. Orkisz kazał więźniów okuć w kajdany. Konwojujący poręczyli za spokojne ofiary, nie chcieli bowiem kompromitować i do rozpacz doprowadzać tak uwięzionych, jak i ich rodziny płakane.

Zbliżyłem się do więźniów i ja. Złożyłem im na drogę pocałunek pożegnalny i błogosławieństwa kapłańskie. Poszli oni w towarzystwie policjantów uzbrojonych. Żydzi, prawosławni i swoi płakali.

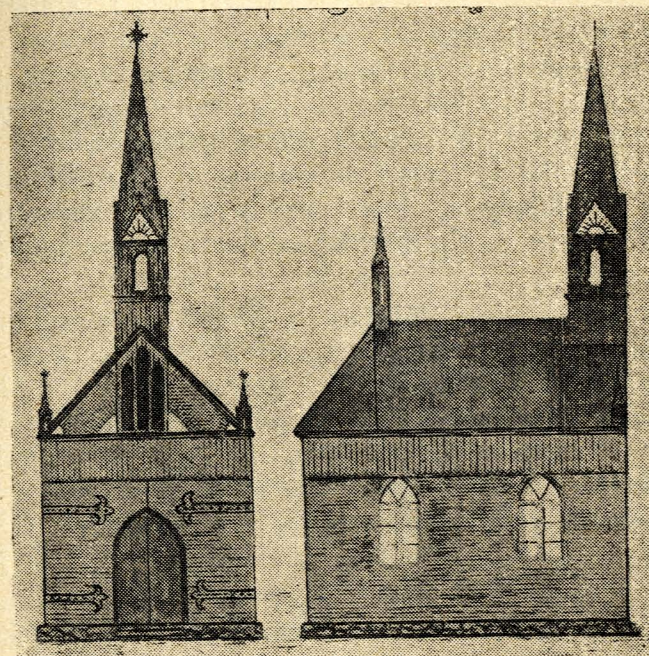
Konieczność zmusiła i mnie odjechać do Dżisny, by spotkać Arcypasterza, jak miesiąc temu mi zalecał. Po drodze zjechałem do Bobolowa. Tam wciągano dach na wieżę. Pp. Rzeczycki i Okulicz opowiedzieli mi, że i tam policja robiła przykrości, ale wreszcie zgodziła się na oświadczenie, że zastała już kościół wykończony.

VII. Poświęcenie nowych kościołów.

Wtorek rano. Niebo się rozjaśniło nad Dżisną. W kościele kapłani z Arcypasterzem na czele, jak w przeddzień wieczorem, siedzieli w konfesjonale. Jeszcze Msze św., Bierzmowanie i odjazd.

J. E. Arcypasterz polecił mnie odjechać do Bobolowa

i tam czekać z moim następcą ks. Sylwestrem Małachowskim, naznaczonym na moją prośbę 16 sierpnia r. b. na administratora mojego nowego „dekantu Leonpolskiego“ jak to koledzy nazwali siedem zbudowanych przezemnie kościołów. Arcypasterz, w towarzystwie PW. ks. ks. Meysztowicza i Bałobana, odwiedzał Ryżmonty. Nie przybył J. E. wczas do nas — złe drogi przygodę spowodowały. Posłałem wolant, a para rumaków p. Gogalińskiego sprowadziły nam oczekiwanego gościa.



Pięć nowych kościołów drewnianych, zbudowanych nad Dźwiną w 1927 r.

Z Bobolowa J. E. zabrał nas, księży Leonpolskich, do swego samochodu i żegnani okrzykami śpieszyliśmy się dalej. W drodze do Zastarzyńców, jak i przy kościele, ludu prawosławnego i bram tryumfalnych było więcej. I tu witany Arcypasterz, jak zwykle przez swoich i obcych, pocieszał strapionych, zachęcał do jedności, miłości Boga i Ojczyzny. Zalecał też J. E. by, pragnący mieć stałego proboszcza w poświęconych kościołach, wysłali 2 podania z prośbą o wyposażenie nowego proboszcza i skierowali je do niego i do P. Wojewody.

Stąd odjechał Arcypasterz do mojego trzeciego kościoła,

zbudowanego przed 20 laty w Miorach. Prosił go p. Starosta, by J. E. nie zabierał mnie do Mior. Powody tego są dla mnie tajemnicą. W Miorach było wielkie natłoczenie ludu. Ingres był chwilą niezapomnianą. Gość ten oglądał kolosalne mury świątyni o ślicznych ołtarzach gotyckich i wszystkiego co tylko mogła ongi dostarczyć firma p. Szpedkowskiego w Warszawie.

Przepiękny poranek zgromadził tłumy i do Bogudzięk. Kościół na tle zieleni, nad brzegiem jeziora, stał olśniony wschodzącym słońcem i kąpał cienie swej wysmukłej wieży w przezroczystych wodach jeziora.

Pp. kolatorowie Potoccy czuwali: mąż w kościele miorskim witał Arcypasterza, Sakrament Bierzmowania przyjmował, a młoda jego małżonka przypinała gałązki mirtu i kwiecica do tronu tego, który miał tę świątynię poświęcić. Przybył dostojnik, otoczony cwałującymi, prowizorycznymi szwoleżerami. Niezmęczeni byli to osadnicy z Bobolowa, Zastarzyńców i okolic Bogudzięk.

Niezwykłe święto, niezwykli Goście i niezwykła majówka zwabiła po pracy Księcia Kościoła i towarzyszących Mu do stołu „ad hoc“ w lasku nad jeziorem przez p. kolatorkę urządzonego i sownie zastawionego smakołykami. Rywalizowała ona bowiem w sztuce kulinarnej z piękną panią Obrąpalską, która wraz ze swym małżonkiem inżynierem witała J. E. i wyczekiwała z obiadem w gościnnym w Oblatowie.

Spragniony i rozentuzjasmowany lud czekał w Potasznym, gdy Arcypasterz nadjechał. Świątynia dominowała na wysokim pagórku. Dodawał jej uroku styl gotycko-zakopiański i wieża wysoka o 15 metrach. Była to siostrzyca rodzona tych już poświęconych. Widok był przepiękny. Rozglądał się Arcypasterz i delektował się przestrzenią, błogosławiąc ją.

My z ks. Kapelanem J. E. przybyliśmy do Leonpola wcześniej. Tu niezliczone tłumy zalały ulice. Kurz kłębił się wysoko, a zbyt wielu policjantów pod kierownictwem powiatowego komendanta, p. Kubarskiego, za głośno musztrowało mój lud. Smutna scena z cmentarza i ten widok, ongi mi tak drogiej policji polskiej, przypominały wypadki niedawne.

Odezwałem się do ludu: „Kto pragnie uczcić Arcypasterza, widzieć i słyszeć Go, proszę na cmentarz przed kościołem, bo tu czekać niebezpiecznie. Przy przejściu mostu, na drodze wiodącej do kościoła, mógłby pod naszym ciężarem usunąć się most, Arcypasterza i nas skaleczyć“.

Uznał p. Kubarski uwagę za słuszną. Nakazał policji przesunąć lud, a wtedy zwróciłem się do policji, ustawiającej w szeregi masę, by ona stanęła li tylko w roli widzów. Oświadczyłem, iż na cmentarzu i w kościele odpowiedzialność za porządek wyłącznie ciąży na proboszczu. Gdy policja ustąpiła, na mój zew lud utworzył dwa piękne i długie szpalery. Zawołałem na tych, którzy służyli w wojsku polskim, a gdy stanęli przedemną, jednego z nich zamianowałem kapitanem na czas obecności gości, a drugich oficerami. Ci piękny porządek utrzymali wszędy.

Na hasło, iż Arcypasterz się zbliżał, stanąłem przy bramie. Przemówił pierwszy p. Orłowski, drugi p. Markiewicz, a trzecią była p. Jadwiga Korzeniowska, której wypowiedziane wierzyki ogromnie Arcypasterzowi się podobały. Oto jej słówka pamiętne:

„Mamuś, tatuś, śliczny lud —
Mówią, że to drugi cud:
Arcypasterz na Syberji nam
Błogosławi tam i siam.

Tobież w darze wielka cześć!
I kościołów piękne sześć!
Nie złamali nas Moskałe,
Choć męczyli jak szakale.

Knuty, różgi, Sybir srogi —
Nasza Wiara ponad wrogi!
Ksiądz Borodnicz miesiąc trzeci
Do roboty zaprzął dzieci —

Z martwych wstajem i poznajem,
Że tu Polska — przy niej stajem!
Choć i wrogie idą rzędy,
By zakłócać pracę wszędy.

Święty Ojcze, żniwo wielkie,
Boć zbawienia pragnie wszelki,
Daj nam więcej tu pasterzy,
Každy błaga o to szczerze!..

I Wy, Goście, czci dostojni,
Bądźcie sercem dla nas hojni,
My z ciemności do jasności
Pragniemy z Wami, Wasze Moście!“

Gdy p. Jadwiga, mówiąc słowo „z ciemności“ wydo-
stała garść kwiatów i, wołając do „jasności“ sypnęła je rap-

tem na zasłuchanych gości, było to miłą niespodzianką. Smutną była jej twarzyczka: „Tatuś“ wice-prezes budowy tych kościołów, które Arcypasterz wyświęcał, był w areszcie.

Przemówił ładnie rabin, Boruch Szugol, po hebrajsku, a jeszcze ładniej i dłużej odpowiadał mu w tymże języku Książe Kościoła.

Gdy J. E. po modłach zasiadł na tronie w pięknie wykończonym kościele, a ubranym w kwiaty przez pp. Korzeniewską i Wiewiorowską, odezwał się chór pod batutą p. Jerzego — (syna zakrystjana), organisty, potężnym „Ecce Sacerdes“. Zakrystjan Szarkowicz też był uwięziony.

Stanałem i ja, składając pokornie moje „homagium“ i rachunek z włodarstwa. Nigdy tak smutnej przeszłości nie opowiadałem, faktów historycznych z męki za polskość i Wiarę, i tak okropnych nie powtarzałem, ile tu doznano za czasów caratu.

Nie mogłem nie dotknąć bolesnej chwili sprofanowania cmentarza kilka dni temu. Ze względu na delikatność kwestji ograniczyłem się do powiedzenia: „Opatrznościowy Arcypasterz przysłał tu kapłana, poświęcił kościołów pięć, bo szóstego moce piekielne i ziemskie, wrogie Kościołowi, nie dopuściły wykończyć, a ten na—grobach 7 męczenników“.

„Kurjer Wileński“ Nr. 207 i „Sielanska Niwa“ Nr. 66 tak przeinaczyły: „Ks. Borodicz powiedział... „Nad polską ziemią w Leonpolu zaciążył znowu duch Murawjowa, policja prześladowuje Kościół i jego wiernych kapłanów“.

Arcypasterz przemówił do ludu, a byli tam prawosławni i żydzi. Zachęcał wszystkich, by garnęli się do nowych świątyń, dziękował prawosławnym za współpracę przy budowie, za dzwon ofiarowany przez wieś prawosławną Słoboda, a ponieważ ci naiwnie wypowiedzieli, że im do nawrócenia się potrzebny jest „prikaz“, jak to było za cara z prawosławiem, Arcypasterz objaśniał, że Kościół do przemocy nie ucieka się, ale i to, w imieniu Chrystusa, daje im przykazanie.

Po poświęceniu Kościoła J. E. i goście zasiedli przy stole na plebanji, w której zaledwie stołowy pokój wykończyłem. Podczas obiadu odczytałem depesze. Przytoczę tu jedną.

„Do Księdza Kanonika Borodicza w Leonpolu.

Nie mogąc przybyć osobiście na uroczystość poświęcenia odbudowanych kościołów w Bobolowie, Czeresy, Bogudziękach, Potaszn i Leonpolu, niniejszem ślę Księdzu Kano-

nikowi słowa szczerzego uznania dla zbożnej pracy. Przyjmijcie zapewnienia, że, czy w dniach radosnych jak dziś, czy w dniach ciężkich, myślą i sercem jestem zawsze z Wami“.

(—) Józef Piłsudski, Marszałek Polski.

Podobnie gratulacje nadesłali:

J. E. Pan Prezydent I. Mościcki,
Ks. Kardynał Prymas Hlond,
Pierwszy Prezes Najw. Trybunału, Wł. Seyda,
Minister Składkowski-Sławoy,
Komendant Główny P. płk. Maleszewski,
Minister Spr. Zagr. Zaleski,
Ks. Arcybiskup I. Dubowski z Rzymu.
etc. etc.

Depesze i listy z Kraju i z zagranicy odczytałem gościom podczas obiadu, a potem ludowi.

Odjechał Arcypasterz serdecznie żegnany. W sercach naszych pozostały jednak uczucia pogrzebowe: — ofiary niewinne były uwięzione, a „Kurjer“, „Krynica“ i „Niwa“ pocieszały „mniejszość“, że mnie wsadzą z ks. Godlewskim, a p. p. Korzeniewskiego z Szarkowiczem na 6 lat na Łukiszki.

Bolałem, ale cóż począć? Arcypasterz prosił bym pozostał jeszcze w Leonpolu, młodego następcę wdrożył, a że ten zaraz na 9 dni odjechał, nie wolno mi było zejść z posterunku.

Tymczasem lud wysłał skargę do Prokuratora. Ta nosiła 1500 podpisów. Dałem sędziemu śledczemu protokół o zajściu, listę 60 świadków. Wreszcie dnia 20 września, po podpisaniu inwentarza, w którym przekazałem ks. Admin. Małachowskiemu kościoły i ich sprzęt, (całość ruchoma wynosiła 168,567 złotych), odjechałem.

Dnia 21 września przybyłem do Wilna. Moja pierwsza wizyta była w Ostrej Bramie i u Św. Kazimierza, potem w gabinecie p. Prokuratora. Ten zgłębił całość sprawy i więźniów z Łukiszek zwolnił. Dałem im znowu pocałunek i bilety kolejowe, by prędzej przywrócić ich rodzinom.

Cała ta tragi-komedja jest zbyt bolesną i krzywdzącą wierne syny Kościoła i Ojczyzny, by o niej zapomnieć. Opowi jej poświęciłem te strony.

Nie mogę pominąć i zarzutów poczynionych mnie przez p. Stanisława Łopacińskiego. Mąż ten jest znanym i kochanym przez cały ogół. Jego wysoki poziom inteligencji, gest wielkiego męża stanu, styl wytwornego dyplomaty są ce-

nione. Nie wolno mi ignorować jego słusznych, czy nie słusznych uwag. Ogłosił on w prasie, iż „Memorjał ks. Borodzi-
cza przedstawia trochę prawdy, ale i dużo fałszywych prze-
słanek“. Przy czasie swobodniejszym, przejrzałem go i kornie
głowę uchylając przed sędziwym leaderem, przepraszam go
za „błędy“, a nowy z uwzględnieniem jego korekty ogłaszam.

Czy tam były błędy — i jakie — powtarzać nie bę-
dziemy. Licząc wiele na pobłażliwość, ośmielamy się i my
zwrócić jego uwagę tąż drogą prasy, że spostrzegawczość je-
go nie jest ta z przed lat kopy, a pamięć i wzrok zawodzą,
jak to bywa w starości — nie może on i w mojej sprawie
dostrzec drogi, na jaką go wprowadzili nieuczciwi intryganci
i zainteresowani degeneracji.

VIII. Wycieczka na Wołyń.

Po załatwieniu spraw w Wilnie, w towarzystwie Ks. Kan-
clerza A. Sawickiego, przybyłem do Białegostoku. Jednocze-
śnie z naszym pociągiem przybył pociąg od Warszawy, któ-
rym przyjechał J. E. Ks. Arcybiskup Jałbrzykowski. Gościn-
ność Księży Kanonika Chodyki i Kan. Abramowicza zob-
owiązały i mnie do współpracy w ich świątyniach z Arcypa-
sterzem na czele. Miłe tu były niespodzianki, szczególnie dla
mnie, którym od lat 20 w Białymstoku nie był.

Spotkały J. E. tłumy, wypełniające place, ulice i świątynie.
Las różnobarwnych sztandarów powiewał. W przepięknym
kościele Farnym potężny chór i organ, przy akompaniamencie
dzwonów, odświętnie ubrane ołtarze i szaty pontyfikalne pod-
nosiły ducha. Ks. Dziekan Chodyko pochlebnie mówił o Bia-
łostoczanach, a kościół nowy, ołtarze bogate, Dowódca wojsk,
Wojewoda, Prezydent miasta i Komendant P. P. klęczący,
lud ścielący się u stóp błogosławiącego ich Księcia Kościoła—
świadczyli, iż tu są w Królestwie Bożem i mają serca kocha-
jące Ojczyznę, Arcypasterz serdecznie ich witał, dziękował,
błogosławił. Po ingresie, wizytacji ołtarzy, zakrystji, J. E. cele-
brował nieszpory a potem bierzmował. Przystępujących do
tego Sakramentu było około 3500. W ciągu 3-ch dni swego
pobytu oprócz bierzmowania Arcypasterz zwiedzał kaplice,
koszary, ochronki, sąsiednie parafje, i rewizytował Przedsta-
wicielstwa.

J. E. nazajutrz poświęcił kamień węgielny pod kościół
św. Rocha. Ks. Kan. Abramowicz w powitalnej mowie do
J. E. opowiedział, iż nowa świątynia powstaje na starożytnym
katolickim cmentarzu, na którym Białostoczanie zaprzestali

grzebać swoich wskutek przemocą pogrzebanego tu gene-
rała schyzmatyka.

Podczas obiadu u Ks. Kan. Abramowicza spotkałem
Ks. Kanonika Sperskiego, z którym nietylko kolegowałem
w Seminarjum Duch., lecz także był moim towarzyszem nie-
doli. Razem w 1908 r. stanęliśmy przed Sądem Okr. w Grod-
nie, gdzie nas skazano na osadzenie w forticy. Po tylu latach
jeszcze dzisiaj mam przed oczyma smutny ten obraz, jak go
żołnierze odprowadzali do forticy, krzyżując obnażone szable
nad jego rogatywką.

Spotkałem tam też i Ks. Maksymiljana Sarosięka, kolegę
„sui generis“. Witałem go nieco inaczej, gdyż w czasie tych
sądów, które nas ścigały za odpieranie rusyfikacji, on, będąc
proboszczem kościoła po-Bernardyńskiego, odmówił mi uła-
twienia rozmowy z moimi świadkami. Inaczej zachował się
wówczas jego wikary, obecnie profesor Seminarjum Duch.,
Ks. Dr. Kanonik Piotr Kraujalis, który nietylko udzielił mnie
i moim świadkom swego mieszkania, lecz dał należyłą od-
prawę żandarmom, którzy przyszli wślad za mną.

Po trzechdniowym pobycie w tak miłym towarzystwie
Arcypasterza, Kolegów i Białostoczian, którzy b. serdecznie
nas podejmowali, udałem się w okolice Pińska i Wołynia,
by zbadać osobiście stosunki panujące w tej części Kresów.

Siedzę tedy sobie w wagonie klasy III-ciej. Wchodzi do
mego przedziału p. Chmielowski, Prezes Sądu Okręgowego
w Równem. Zmusił on mnie do przejścia do przedziału klasy
II-ej. Słyszał bowiem moją rozprawę z popem i djakiem
z Brześcia. Gdy spałem snem twardym w kacie, pop tak
perorował: „Polaki naród choroszyj. Dali nam swabodu. Die-
tej swoich obuczajut po białoruski i rusinski... kak żałko,
czto oni jeszcze nie prawosławny“... Słyszałem to przez
sen. Sądziłem, że to nie na jawie. Przecieram oczy a tu i pop
na mnie patrzy. Nie wytrzymałem. Zapytałem popa, na
jakiej zasadzie on urąga otoczeniu? Gdy go przekonałem, że pra-
wosławje zrodziło w Rosji bolszewizm krwiożerczy, który sięgał
aż po Warszawę, lecz sromotnie został przez katolicką Polskę
odparty aż za Dźwinę, obydwaj z djakiem z wagonu uciekli.

Towarzystwo p. Prezesa rozweseliło mnie znowu. Od-
wiedziliśmy po drodze Kowel i oglądaliśmy tam budujący
się „tum“. Budowa tego kolosalnego kościoła sprawiła b. miłe
wrażenie. Okazuje się, że za dolary Ameryki, użebrawe ręką
Ks. Infułata Sznarbachowskiego, Ks. Kanonik Jarosiewicz
tego arcydzieła dokonuje. Byli i oni niedawno ofiarami nie-
uczciwej prasy.

P. Prezes interesował się także Kresami Wileńskimi. Dałem mu opis naszych stosunków: czytał, notował, ramiona i brwi ściągał, długi wąs kręcił i mówił: „U Was jest gorzej, niż u nas. Jaka to szkoda, że winni zająć nie staną przed Sądem Okręgowym w Równem, nauczyłbym ich jak należy kochać Ojczyznę, zastosowałbym do nich art. 643 i 646...”

Z Równego udałem się do Krzemieńca, Wiśniowca, Kołodna, Łanowca, Łucka, Włodzimierza-Wołyńskiego etc. Oczywiście, wrażenia odniosłem wielkie. Wszędzie tu widziałem sprężystość naszych władz, wprawny ster p. Wojewody Łuckiego.

Na kresach Wołyńskich jak i na Wileńskich lud żadnych pretensji do faworyzowania go i przywilei nie rości. Dużo tutaj jest przysłanych agentów niemiecko-sowieckich, którzy zbyt głośno o prawo „mniejszości” walczą. „Divide et impera”...

Co się tyczy prasy, to ta oczywiście przeważnie jest wywrotową. Na każdym kroku widać jej robotę destrukcyjną. Znać, że ona za srebrniki judaszowe współpracuje z wrogami naszej Ojczyzny. Jak ongi pieski wileńskie, gdy jakiś patryjot-spryciarz wysmarował sadłem wilczym nowopostawiony pomnik Murawjowa, wyły dookoła Wieszatiela, tak i teraz prasa nam wroga ośmiesza, pluje, bezczęści i dyskredytuje naszych działaczy na Kresach, co gorsze, sama umiejętnie maskując się, okłamuje nasze władze nie tylko kresowe, ale i centralne.

Włodzimierz-Wołyński był celem mej podróży i dlatego, że to gród św. Józefata, patrona Kresów, do którego mam szczególniejsze nabożeństwo. Po odwiedzeniu świątyni, zwiedziłem tu i kryjówki, gdzie miały być przechowywane skarby narodowe.

Po spożyciu obiadu u gościnnego J. E. Arcypasterza Mańkowskiego udałem się do Łucka. Zjazd był ziemian i kupców, trudno było o nocleg. Usłużny policjant objaśnił, iż za miastem jest kościół, przy którym J. E. Ks. Biskup i Kapituła zamieszkują. Była godzina 24. Zmuszony byłem zakładać do zakrystjana. Gdy ten otworzył podwoje i wskazał na sofę dla podróżnych, ujrzałem na ścianie jego dyplomy. P. Dubicki nie był zwykłym zakrystjanem: za ukrycie skarbów katedralnych przed bolszewikami, gdy ci domagali się, trzymając brauning mu przy skroni, Rzym obdarzył go aż dwoma „Bene merenti”.

Po Mszy św., udałem się do „Stołówki”, gdzie p. Kwaśnicka całą Kapitułę stołuje. Spotkałem tam większość X.X. Prałatów, znanych z przed laty 20. Przypomnieliśmy ową

pamiętną chwilę, jak to na pogrzebie ś. p. Arcyb. Wnukowskiego fotografowaliśmy się i jak J. E. X.X. Biskupi mnie polecili podać dłoń X. Tokarzewskiemu w czasie fotografowania na znak, że my dwaj najbardziej byliśmy ścigani przez carat. Tym razem rywala mego nie było: b. Prezydent Wojciechowski wyniósł X. Tokarzewskiego do godności swego kapelana, lecz gdy byłem, „pod wozem”, pisałem doń, ale ten kolega zhardział, bo i było czego — nie raczył odpisać. Dzisiaj i on ze swym pryncypałem usunął się w cień i powtarza sobie: „Tous passent, tous cassent, tous lassent”...

J. E. Ks. Biskup Szelażek przyjął mnie łaskawie. Powagą, nauką i giestami wielkopańskimi imponował. Wysłuchać raczył mej prośby i zwolnił z probostwa w Kołodnem mego brata, X. Jana, pozwalając mu udać się do San Remo.

Z Łucka odjechałem do Warszawy a po paru dniach do Kluczkowicz. Pozwolę sobie tutaj zwrócić uwagę Sz. Czytelnika na tę „perłę” powisła. Przybyłem tu poraz pierwszy w nocy. Widziałem tylko jak przez szosę przemykały zajęce przed wiozącym mnie samochodem. Gdy przybyłem, oświetlony rzęsiście pałac otworzył podwoje, ręce ugrzęzły w przyjacielskich dłoniach. P. P. Kleniewscy skierowali mnie do holu „Gersona”. Zwiedziłem bibliotekę, słynną z ozdób Witkiewicza. Nie będę opisywał tu sztuki, wolę poznać Czytelnika z gospodarstwem tych dóbr.

Dratów, Kręciszówka, Wrzelów, Nieciecz, Brzozowa, Wilków, Łaziska górne i dolne, Zagłoba, Opole-Wrzelów — są to dobra p. p. Kleniewskich. Ś. p. Jan Kleniewski, wobec kryzysu rolnictwa w 1865 r. oparł swą pracę nie tylko na produkcji zboża, ale i na fabrykach do przetwarzania płodów rolniczych. W tym celu buduje on szosy, trakty i drogi w obrębie 6.500 ha, zмага się z trudnościami czynionymi przez rząd rosyjski, osusza kanałami dziesiątki kilometrów bagnisk, moczarów, ujmuje szluzami wody nie tylko w swych dobrach ale i sąsiedztwa, pozyskując i podnosząc glebę do najurodzajniejszej jakości, tworzy najwzorowsze stawy, zarybia je, zdobywa najrętowniejszy przemysł rybny. Założył on wielką gorzelnię, rektyfikację, cukrownię „Zagłoba”, fabrykę konserw, leśne gospodarstwo, szkółki, zagajniki, tartak, terpentyniarnię, kaflarnię, fabrykę serów, 3 młyny wodne i parowe. Chmiel ze 180 ha, siarkowany na miejscu, eksploatuje nie tylko na rynki Europy, ale i Japonii. Ponieważ Wisła podmywała brzegi, p. Kleniewski oprowadził je wałem a odsypy zasadził szlachetną pręcina koszykarską na 500 ha. Odtąd koszyki jego zasłynęły daleko. Mimo prześladowania Moskali potrafił

on utrzymywać 10 szkół potajemnie, 6 żłóbków dla niemowląt i wiele innych kulturalnych instytucji,

Majątki te pozostały podzielone między synów, p. p. Witolda i Przemysława oraz córkę, dziś p. Młakiewiczową. Pomimo, iż wojska podczas 3-ch ofensyw spustoszyły te dobra, wykształceni wszechstronnie synowie rychło odbudowali i uruchomili wszystko. Przemysł jeszcze bardziej wzrósł. Szczekarków zasłynął najwyborniejszymi różami co do gatunków i ilości (150.000 krzaków) i różnych szczepów owocowych (2.000.000 pni), brzoskwinie, truskawki, morele swym smakiem, wielkością i zapachem prześcignęły owe z krajów egzotycznych. Łaziska posiadają owce „Meryno-Precote”, Kluczkowice — selekcyjną hodowlę ryb „Lustrzeni” etc.

P. p. Kleniewscy potrafili skupić i zainteresować różne syndykaty, na czele których stanęli.

Poznałem p. p. Kleniewskich, gdy zmarł s. p. Witold w San Remo, gdzie jego zwłoki parę miesięcy spoczywały w moim kościele. W chwili tragicznej, ciężkiej Pani Janowa wraz ze swymi synowami i p. Przemysławem tak mężnie zgaźdzali się z wolą Bożą, że mnie kapłana budowali.

Gdy w Kluczkowicach odprawiałem Mszę św., cała rodzina była rozmodlona. Sama kaplica była tak wzorową i miłą, jakiej w żadnym dworze nie widziałem. Zwrócił moją uwagę mozaikowy obraz Matki B. Częstochowskiej.

W chwili odpowiedniej prosiłem p. Janową, by raczyła mi objaśnić tajemnic wychowania rodziny. Pokorna i skromna ta Pani chętnie to uczyniła. Ona sama odebrała wychowanie u Sióstr Urszulanek w Krakowie. Celem jej życia była miłość Boga i Ojczyzny. Nietylko siebie, swą rodzinę, ale i sąsiednie ziemianki uświęca i podnosi ducha polskość swym własnym przykładem i praktykami pobożnymi.

Jej zdaniem kobieta winna dbać o wysoki poziom religii, bronić Kościoła, duchowieństwa, szczególnie w czasach, gdy bolszewizm stara się ośmieszać kapłanów, a prasa wywrotowa, kina, różne spelunki deprawują młodzież. Pyta ona: „Dlaczego nikt nie szarga rabina”?

Obowiązkiem kobiety polki jest unormować gospodarstwo domowe przez podniesienie ekonomiczne, albowiem ona, jak tego dowodzą doświadczeni, dystrybuje 63 $\frac{1}{2}$ % ogólnych wydatków na potrzeby domowe. Dobrze wychowanie

rodziny całej, twierdzi ona, w duchu moralności najwyższej i etyce staropolskiej jest koniecznością absolutną i bezwarunkową. Ziemianka powinna zakładać chatę wzorową, w której każda dziewczeczka wiejska po ukończeniu szkoły ma uczyć się higieny, pracy praktycznej i ekonomicznej a przede wszystkim moralności i patriotyzmu.

Nie powinny też kobiety politykować, albowiem temperament one mają nie zawsze równy, przeważnie prędkie, wrażliwe. Powołaniem kobiety jest troska o rodzinę. Prostolinijność w domu jest podstawą wszystkiego i dobrobytu. Nawet mężczyzna, gdy się zaciąga do polityki niekiedy schodzi z właściwej drogi, winien się odradzać w ognisku domowym: świętobliwa żona uświęca męża. Wciąganie kobiety do polityki robi z niej bezmyślną agitatorkę lub wiwandierkę”.

Żegnając tę piękną i niezwykle szlachetną rodzinę, dostrzegłem w szatni napis na ramach lustra „Człowiek skromny jest mądry, pyszniący się — głupi”

Z powrotem do Wilna zostałem pozwany do Sądu. J. E. X. Arcybiskup udzielił mi pełnomocnictwa. Pojechałem znowu do Leonpola, zrobiłem parę protokołów i wniosłem skargę do p. Prokuratora jako powód cywilny. Przed kratkami sądowymi spotkałem się z moimi oszczercami. Prosiłi oni o przebaczenie. Na moją prośbę Sąd zaprotokołował moją skargę, iż agenci niemiecko-sowieccy nad Dźwiną rozwinęli swoją akcję b. niebezpieczną dla Polski. Moi oponenci poprostu teroryzują naszych działaczy na Kresach i zapomocą prasy ośmieszają, bezczeszczą i dyskredytują ich. Świadomie czy nie świadomie sekundują im: rosjanin Buturlin w „Wiln. Utro”, p. Karuza w „Białorus. Krynicy”, p. Mackiewicz w „Słowie” i „Sielańska Niwa”, red. „Za Swobodu”, „Nasza Prawda”. Czy autorowie oszczerstw są agentami płatnymi, czy też, jak mówi rosyj. przysłowie: „usłużliwyj... opasnieje wraga”, śpierać się nie będę, ale sam Sąd Okr. raczy cierpliwie zbadać i winnych ukarać. P. Karuzo zażądał zaprotokołowania, że ja rzekomo ubliżyłem, mówiąc „usłużliwyj durak”. Pocieszyłem tego pana, że nie dopowiedziałem, ale jemu zastosowanie to zostawiłem. Śmiech był ogólny.

Sprawy prasowe przeciw tym, którzy zawinili w Leonpolu, poruczyłem mecenasowi Jasińskiemu w Wilnie. Pilny był powrót do San Remo, dokąd wzywali mnie moi sezonowi parafjanie. Odjechałem więc dnia 8 listopada. W Warszawie spotkałem się z miłą wzruszającą niespodzianką. To parafjanie Miorscy, Leonpolscy, Bobolewscy, Bogudzieccy i Zastarzyńscy przysłali swych delegatów w osobach pp. Piotrow-

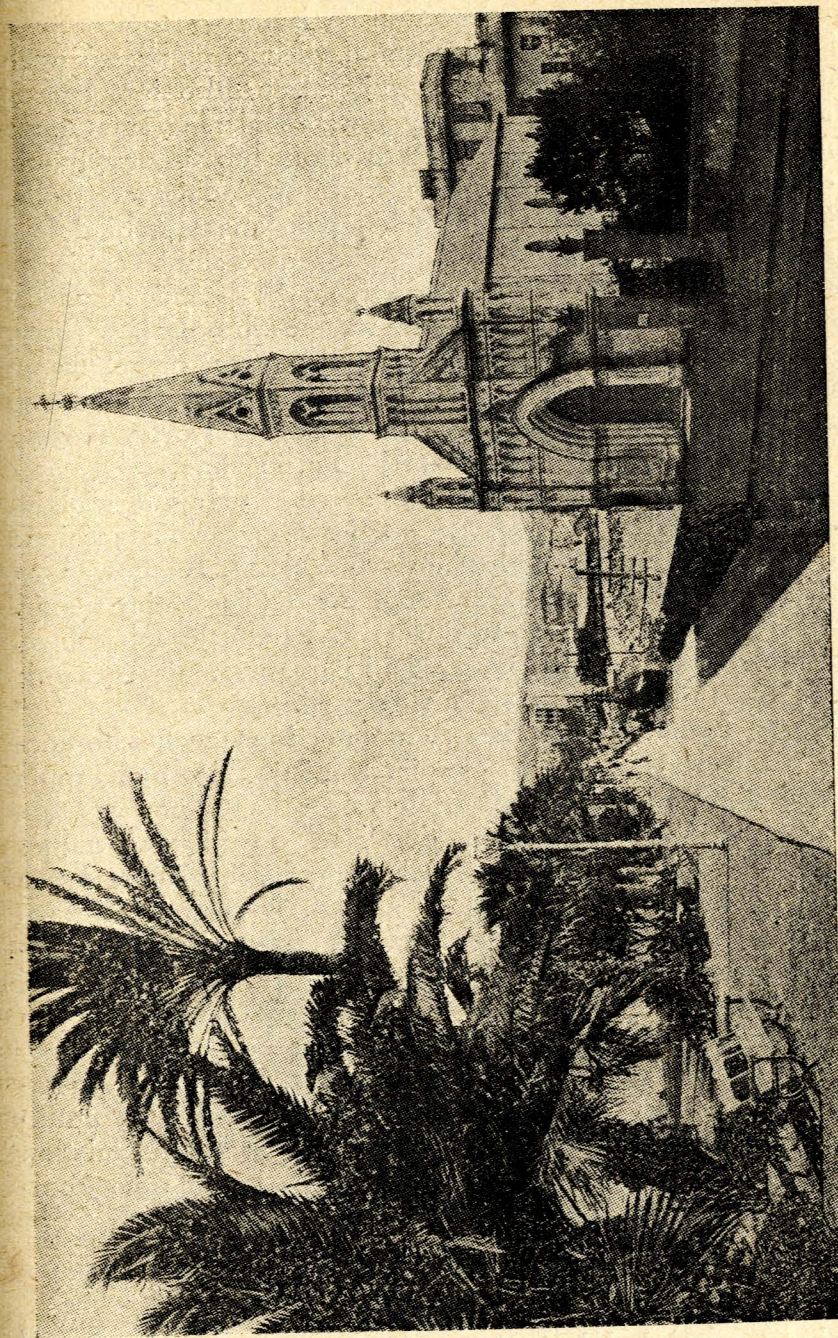
skiego i Okulicza, którzy wraz z przyjaciółmi moimi Warszawskimi, z p. Redaktorem Hertzem na czele odprowadzili mnie na główny dworzec a Panie ubrały w kwiaty przedział wagonu, który już wcześniej zarezerwowano dla mnie. Nie pomogły moje prośby, by odjeżdżającemu na Riwierę kwiatów nie dawały. Chciały, jak mówiły, uprzyjemnić podróż powrotną po znoej pracy. Zawdzięczając moim przyjaciołom długą drogę do San Remo odbyłem bardzo przyjemnie.

IX. San Remo.

Gdy w Wilnie i Warszawie jesienne wiatry, zimno i deszcze szalały, przeplatane śniegami, w San Remo zastałem pogodę przepiękną. Zieleń i kwiaty przypominają tu czas czerwcowy w Polsce. Sezon zimowy w San Remo jest znany nie tylko z wywozu kwiecia ciętego i w doniczkach, do różnych krajów wysyłanego, ale też śpieszą tu dziesiątki tysięcy tych, którzy wolą być w towarzystwie róż, goździków i palm, niż śniegu, mrozu i błota. W miesiącach zimowych w San Remo istne lato. Jedyny to zakątek na świecie, który słusznie nosi nazwę „Il Paradiso“.

Błękit nieba, lazór morza, ciągle grzejące słońce, czarująco fantastyczne skały, osłaniające przed zimnem i wiatrem, zawsze łagodny klimat — ściągają tu kuracjuszy i szukających wypoczynku z całego świata. Jednych tu przysyłają lekarze, by uratować zdrowie i życie, drudzy po znojach śpieszą na wywczasy, wielu też szuka w tym „Raju“ przyjemności. Każda narodowość wiek i stan, zwłaszcza wśród chorych, ma tu swoich.

Zrzeszyli się Anglicy, Niemcy, Rosjanie, nawet Żydzi już mają swe świątynie i swe placówki konsularne. Odczuwając wielką potrzebę i ja założyłem tu kościół, zorganizowałem parafję polską. Niestety nie mamy tu jeszcze naszego konsulatu polskiego. Rzecz dziwna, że nasze Władze w Warszawie lekceważą San Remo, które i pod względem politycznym nie małą rolę odegrało. Tu bowiem odbywały się kongresy przedstawicieli różnych państw, tu przyjeżdża co roku Stressemann, Titulescu i wiele innych dyplomatów. Przedewszystkiem jest koniecznością Konsulat polski dla kuracjuszy do załatwienia spraw nie tylko paszportowych ale i majątkowych. Jest co prawda Konsulat polski w Medyolanie i Rzymie, ale odległość duża zmusza rodaków udawać się do Nicei do naszego Konsulatu, pomimo, iż same wizy włoska i francuska kosztują ze 120 lir.



KOŚCIÓŁ RZYMSKO-KATOLICKI POLSKI I VILLA „POLONIA“ W SAN REMO.

Tu pod wpływem dobroczynnych promieni słonecznych lżej się oddycha, wszelkie dolegliwości zdają się łagodnieć, uzdrawiać. Oko chorego, pieszcząc się lazurową tonią morza lub igrając barwą wiecznej zieleni palm, pięknnością przeróżnych kwiatów dookoła dostrzega w swej duszy odrobinę lepszej przyszłości, uspokojenie nerwów, wzmocnienie starganego wojną organizmu, nadzieję wyzdrowienia lub podtrzymania na długo zdrowia. Ludzie zamożniejsi posiadają swe wille, przeciętni zamieszkują w hotelach i pensjonatach, biedniejsi wynajmują pokoje, przygotowują jedzenie sami sobie na maszynkach spirytusowych lub gazowych. Ci ostatni są więcej zadowoleni, bo mają wikt zrobiony na sposób polski, zdrowy, tani i najlepszy, gdy mieszkańcy hoteli często narzekają na kuchnię włosko-francuską. Dla tych biedaków San Remo staje się oczywiście rajem ziemskim i dlatego każdy, mający możliwość po temu, stara się na niej spędzić zimę.

Z tego więc tytułu San Remo jest jednym wielkim szpitalem z tą tylko różnicą, że przyjmuje w swoje gościnne progi ludzi przynajmniej średnio zamożnych. Rachować na wsparcie nie można bo filantropja tu na ostatnim planie. Szpitale i przytuliska mogą tu obsługiwać ludność miejscową. Co prawda Niemcy, Anglicy, Żydzi i Rosjanie mają tu swoje szpitale, ale Polacy na to się nie zdobyli.

Muszę zaznaczyć, że San Remo ma inną cechę, bo chorzy tu przebywający i ich cierpienia zdają się być kroplą w morzu obok rozbawionych wielotysięcznych tłumów, które tu starają się, że tak powiem, dostrajać do pięknej natury i na jej tle symfonię pieśni, wesela i radości, zlać w jedną całość i chwile tu spędzone na zawsze w swej wyobraźni upamiętnić. A więc do drugiej kategorii należą ludzie rozbawieni, o wesołym nastroju, szukający wrażeń.

Ależ nam przeważnie chodzi o swą narodowość i dlatego mamy odpowiedzieć na pytanie: jak się tu bawią Polacy?

Aby jednak odpowiedzieć na to pytanie, należy zauważyć, że dla ludzi bawiących się tu najbardziej silną atrakcją jest Kasyno w San Remo i Monte-Carlo ze sławną ruletką. Każdy tam śpieszy „spróbować szczęścia” i upoić się komfortem, który do finezji tu posunięto.

Monte-Carlo i Nicea.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się szeroko o historii Monte Carlo. Powstało bowiem ono przed kulkudzieściu laty. Ruletka podniosła je do szczytów szczęścia i przepychu.

Tu wyszkoleni krupjerzy zgarniają od klienteli złota co roku setki milionów, pozostawiając na „wygrane” zaledwie mały odsetek. Są tu jak i w San Remo gracze zawodowi i przygodni.

1. Czy można wygrać lub znaleźć sposób wygrania?
2. Czy są wypadki wielkiej wygranej? i 3. Czy możebne jest z małym kapitałem wygrać umiarkowaną lub wielką sumę?

Na pytanie pierwsze odpowiem, że tak i nie. W Monte Carlo jak i San Remo można wygrać lub przegrać człowiekowi nie liczącemu się z groszem, dla którego kilka dziesiąt tysięcy przegrana różnicy nie robi. Taki rzuca krocie na jedną stawkę i tak po przegranej a czasem, ale rzadko, wygranej w najlepszym humorze odchodzi od stołu. Tacy są dla Kasyna niekiedy i niebezpieczni, bo zabierają wygrane naraz i nie wracają.

Co zaś do sposobu pewnej wygranej, to trzeba być naiwnym, żeby temu wierzyć. Gdyby to miało miejsce, toby Kasyna nie egzystowały. Jest przeciwnie: Ruletka w Monte Carlo daje Żydowi Blankowi dwieście milionów rocznie i dywidendy 40-50 milionów, jakie ta jaskinia ze swych ofiar rocznie wydiera i akcjonariuszom do kieszeni wkłada. Wprawdzie większość graczy starannie śledzi za grą, foliały cyframi wypełnia, planuje, ludzi się i szuka sposobu jak „zerwać łeb tej hydrze”, ale napróżno. Gdy gracze dostają tej manji, napewno pozbędą się tu wszystkiego i wrócą z „wijatykiem” do Kraju. W Monte Carlo są stada agentów i agentek, przeważnie z półświatka, którzy podsuwają „systemy”, rozsiewają różne zmyślane historie wygranej, elektryzują graczy, wprowadzają w hazard. Oto cel i zadanie Monte Carlo.

W San Remo nie towarzyszą ruletce podobne nadużycia i oszustwa. Policja tam czuwa dniem i nocą, wszelki element szkodzący moralności usuwa. Gra jest dozwoloną umiarkowaną i bez hazardu.

Czy są wypadki wielkiej wygranej? W San Remo częściej, w Monte Carlo rzadziej, ale i te do wypadków zaliczać należy. Takie wygrane są bodźcem dla graczy — stawiać na jedną stawkę całe mienie—ruina. Wygrywający natychmiast się zmienia, buduje zamki na lodzie i w końcu zgrywa się doszczętnie. Faszyci w czas go z San Remo wysyłają, gdy w Monte Carlo najczęściej rzuca się nieszczęsny ze skały lub mostu, zostaje pogrzebany w nocy i zatyka się mu tabliczkę „inconu” na mogile.

Do wygrania chociażby nie wielkiej sumy, zawsze potrzebne

jest pewne ryzyko a z małym kapitałem ryzykować trudno, gdyż pierwsza przegrana nie pozwoli na dalszą grę. Nawet gdyby się udało coś na pierwszej stawce wygrać, to są wypadki. Na większą wygranę człowiek poważnie myślący rachować nie może.

Ludzie średniej zamożności stanowią najlepszą klientelę Kasyna, bo, przegrywając, odegrywają się i całe mienie tam pozostawiają. Gdyby kto chciał przekonać się o ilości ofiar ruletki w Monte Carlo, dosyć jest pójść na cmentarz i policzyć nagrobki z napisem „inconu“. Spotykam tu najczęściej takich naszych ziemian, co to nie mając gospodarstwa leśnego, ograniczenia w sprzedaży lasów, oddając Żydom posiadane drzewa, którem wypełniona jest Dzwina, szczególnie między Leonpołem i Drują i inne rzeki, jako też i kolej żelazna, zgrywają się doszczętu i znowu spieszą do Kraju, by rozprzedać resztki pozostałego lasu lub ziemi i znowu zagrać na ruletce. Pewien obywatel przybył do Nicei, poznał tu z półświatka kobietę, ozdobił ją perłami bardzo cennymi swej matki i w towarzystwie takim przegrał odziedziczone bogactwa po rodzicach i stryju. Gdyby nasz Rząd wiedział jak tu marnuje się grosz polski w Monte Carlo, to niezawodnie poleciłby Konsulatowi czuwanie i ograniczanie niefortunnnych graczy. Potrzeby bowiem rodzinnego Kraju w dobie powojennej są tak wielkie, że każdy grosz na marne, gdzieś za obrębem Kraju, wydany jest zbrodnią.

Największą plagą dla Kasyna w Monte Carlo i Nicei jest prasa. „L'Eclairer“, „Petit Niçois“. „La France“ pobierają „subsydji“ po 75.000 fr. rocznie dlatego tylko, by o samobójstwach i przegranych milczeli, a o zmyślonych wygranych pisali.

Kasyno w Nicei jest mniej groźne, ale też niebezpieczne, bo i tam jest otoczenie półświatka, „Baccara“, „Trente et Carante“ i t. d. Wogóle nazywanem stąd jest Monte Carlo—Sodomą a Nica—Gomorą. Nasi rodacy powinni dobrze sobie zapamiętać, że Nicea i Monte Carlo demoralizują naszą młodzież i starszych, rujnują a niekiedy o samobójstwo pripraviają. Jeżeli kto z rodaków potrzebuje Rivieri, to winien skierowywać się na włoską, nigdy na francuską. Niech te wywczasy na wybrzeżu Morza Śródziemnego spędzone dadzą możliwość naszym Braciom Polakom skupić się wewnątrz i nabrać sił do skutecznej pracy przy warsztacie życia społecznego.

Byłoby pożądanem, aby nasi Ziomkowie zechcieli głębiej zainteresować się życiem towarzyskiem, silniej akcento-

wać życie religijne i narodowe, jak Niemcy i Anglicy. Nie bez przykrości byliśmy świadkami Revue, kiedy tysiączne tłumy oklaskiwały występy w żywych obrazach narodowe stroje rozmaitych narodów Europy. Przy ukazaniu się każdego kolejno obrazu grano hymn narodowy, oklaskiwano a jednostki, należące do niego, z dumą podnosiły się z miejsc i radością rozpromienione, zwracały się ku swoim. Jednak Polskich Kontuszów ani w Nicei ani w Monte Carlo nie widziałem, miłość narodowa i tu upokorzona dla nas Polaków. Zapytałem o to Dyрекcję, a ta odpowiedziała z całą naiwnością, że owszem na scenie pruskie i rosyjskie obrazy miały miejsce, sądziła bowiem, iż to wystarczy i dla Polaków. Po wyjaśnieniu żałowano tej wielkiej pomyłki. Są to co prawda bagatele, ale i te dla Polaka są ciężkie do zniesienia, bo każdy z nas ukochał swój Kraj, swoją uмиłowaną Polskę. Niech na dalekiej nawet obczyźnie nasz narodowy element nie będzie pochłonięty większością. Umiejmy na równi z innymi wykazać, że jesteśmy wielkim narodem i cechy tej narodowości nosimy ze sobą wszędzie. Miłość Ojczyzny i tradycji w najbardziej świetlanych barwach niech będzie świadectwem. Niech nam posłużą za przykład nasi mężowie jak p. Seyda Władysław, Pierwszy Prezes Najwyższego Trybunału i p. Raczkiewicz, Wojewoda Wileński, którzy przybyli do San Remo i tu czas tak pożytecznie spędzili, że odzyskali siły i hart do pracy dla dobra Ojczyzny, zostawiając po sobie w tem mieście najlepsze wspomnienia.

W tym celu, aby Rodacy mogli, nawet nie posiadając języka włoskiego lub francuskiego, korzystać z Rivieri i bez przygód, wyzysku, tanio i najlepiej, urządziłem tu polskie Biuro Informacyjne, Czytelnię, Dwóch kapłanów Polaków obsługują nie tylko w kościele polskim w San Remo, ale i na przestrzeni między Marsylją i Lago di Como. Spieszmy na każde ich wezwanie. Opiekę młodzieży i starszym zapewniamy tym, którzy do nas zgłaszają się, szczególnie chorem. Można listy adresować: „L'Eglise Polonaise“, lub: „Villa „Polonja“ San Remo“.

A teraz słówko o samych Włochach. Kto znał Włochy przedwojenne i porównać może z tymi za czasów Faszizmu, znajdzie różnicę wielką. Dawniej Kantony Szwajcarskie cieszyły się wziętością wielką dla prawowładności. Obecnie Włochy i w tem je przewyższyły. Faszizm ujął w swe karby i rygor różnych wyzyskiwaczy i rzezimieszków. Ci nietylko w pociągach, miastach, ale i na całym terytorjum wolności nie mają. Ustały tu kradzieże, podstęp, nadużycia. Kto żyje

z krzywd ludzkich zmuszony jest odjechać do Monte Carlo, lub Nicei, gdzie Sądy Nicejskie stały się przysłowiowymi z pobłażliwości występny. Nie dawno jeszcze zakończyła się sprawa sławetna Villi des Colannes. Wynajęła tę villę Polka na lat 9. Włożyła kapitał do odnowienia rudery, doprowadziła ją w 1921 r. do stanu pierwotnego, zbudowała garaż na 50 samochodów — to wszystko kosztem 125 tysięcy. A ponieważ kontrakt był zrobiony na jednego z polaków (była bowiem p. S. wdową, nie mówiącą po francusku), wyekspulswano najpierw opiekuna a potem steroryzowano p. S.

Administrator francúz B. tak pokierował wszystkim, że zmuszoną była udać się do Sądu w Nicei. Sprawę w sądzie tak pokierowano że kontrakt został anulowany, właściciel tej Villi, pomimo, że obowiązał się wynieść, został i nietylko nie nie płacił, ale pobierał czynsz za apartament przezeń zajęty. Ponadto tenże trybunał skazał p. S. na koszt sądowe i odszkodowania właścicielowi, co wyniosły około stu tysięcy. Gdy zasekwestrowano meble, p. S. na żądanie sekwestratora zapłaciła 10.000 fr. z tem, że będzie mogła sprzęt zabrać. Gdy pieniądze doręczyła, tenże komornik, oczywiście przyjaciel właściciela villi, wypchnął kobietę za drzwi i mebli nie wydał, zażądał jeszcze 30 tysięcy... Pokrzywdzona zamieszkała w San Remo. Najlepszy z obrońców, mecenas Palewski w Paryżu, nie mógł ukrócić tych matactw.

Pomimo, iż ład i porządek wielki w San Remo, jak i całych Włoszech, p. Piotr Agosti, Podesta, przyjaciel Polaków, ubolewanie wyrażał, gdy z nim się żegnałem, odjeżdżając do Kraju, a to dla tego że Polska niema tu jeszcze Konsulatu. Prosił on mego zastępcę brata, by czuwał nad rodakami, jak ja i w razie potrzeby pomocy, jemu komunikował.

X. Akcja przedwyborcza na Kresach.

Z chwilą ogłoszenia wyborów do Izb Prawodawczych nawet Kresy ożyły: najróżnorodniejsze stronnictwa, organizacje i grupy polityczne, inteligencja i duchowieństwo, kupcy i rolnicy, chlebowodawcy i klasy robotnicze dyskutują, radzą i zmagają się wzajemnie lub blokują. Lud, pomny wyników wyborów, szczególnie nad Dźwiną w 1922 r., debatuje.

Najbardziej ruchliwymi okazali się „towarzysze“ z za Dźwiny. Jeszcze w styczniu r. b. rozrzućili oni swe ulotki komunistyczne w różnych miejscowych językach wydrukowane. Tu się spotkało z odezwaniami: listy Nr. 1 i 24, „Białoruskiej Hromady“, „Wyzwolenia“, „P. P. S.“, „Blok Mniej-

szości Narodowej“, „Bundu“, „Zjednoczenia Białorusko-Litewskiego“, „Siły Chłopskiej“, „Obrony Chłopsko-Robotniczej“, „Rosyjskie Zjednoczenie“ i t. d. i t. d. Warczą drukarnie po miastach a po miasteczkach szapirografy i maszyny, stada agentów nawołują lud głosować na listy „towarzyszy“. Zaczynając od Brasławia aż do Świecian spotykałem bandy grajków na instrumentach dętych i smyczkowych, zwołujących na „wieczory“. Zapytana młodzież dlaczego się gromadzi dokoła obcych, odpowiadała: „Nadto ciekauno tam hrajuć, kažuć i wodki dajuć“.

Wobec niebezpieczeństwa, grożącego ze strony komunistów, lud myślący trzeźwiej, zrywa się do kontragitacji. Oto list, który do San Remo mnie nadesłano.

„...Bóg przeznaczył Narodom rolę rozmaitą, a Polskę — być „Przedmurzem Chrześcijaństwa“ — bronić świat od bolszewików.

Masonerja przez bolszewję chce za wszelką cenę zdławić chrześcijaństwo w Europie. Temu na przeszkodzie stoi i stać musi Polska.

Gdy u nas za parę tygodni mają być wybory do Sejmu, bolszewicy rzucili tu miliony złota i najlepszych swych agitatorów, a to w tym celu, by przesznułować takich kandydatów na posłów, którzy potrafią w Sejmie obalić św. Sakrament Małżeństwa i inne, zakneblować usta naszym kapłanom.

My, katolicy, musimy złotu przeciwstawić ludzi, mających wpływ, popularność i mir w społeczeństwie, lub poddać się występny. W czasie wyborów zeszłych zaufaliśmy tym, którzy wiele obiecywali nam, ci jednak okryli hańbą nas: hurtki bolszewickie u nas zasieli. (Miotła i t. p.).

Księżę kanoniku, przodowałś nam dotąd, budując kościoły, opiekując się nami moralnie i politycznie. Twoja popularność, serce ojcowskie i poświęcenia zjednały nie tylko nas, ale rosjan i żydów. Zebrani na naradę przedwyborczą, po różnych debatach, rozważeniu sytuacji strasznej i niebezpiecznej, postanowiliśmy prosić Księdza Kanonika przybyć do nas jaknajrychlej nam przewodzić i pokierować...

Ojczel! Ratuj nas! (Podpisy).

Nadszedł list od nich i do mego Ordynariusza. J. E. ks. Biskup Daffra polecił mnie udać się do Polski natychmiast, zbadać akcję wyborów i w konieczności postawić kandydaturę na posła.

Jakkolwiek mnie w San Remo na moje stare lata było najlepiej, musiałem usłuchać i pojechać na Kresy Polskie.

J. E. Ks. Arcybiskup Jałbrzykowski wyraził się, iż zasadniczo nie pozwala duchowieństwu kandydować. Jako kapłan i obywatel bolałem iż nie będę mógł współdziałać z mym ludem dla dobra Kościoła i Ojczyzny. Pojechałem jednak zbadać sytuację na pograniczu bolszewji. Zwiedziłem w Święcianach różne komitety, rozmawiałem z pełnomocnikami grup, odwiedziłem i p. Przewodniczącego Okręgowej Komisji Wyborczej Nr. 64. Było to 1-go lutego. Sędzia Eljaszewicz miał klienteli b. wiele, a stosy list i podań piętrzyły się przed nim.

Dowiedziałem się od pełnomocnika z nad Dźwiny, że „towarzysze“ uzyskali łatwo podpisy mego ludu, wmawiając, iż lista obejmuje mnie, jako kandydata na Sejm. Przy pomocy p. inżyniera Obrapalskiego udało się namówić pięciu, którzy zgodzili się oddać listy swoich kandydatów, podpisane przez wyborców, w moje ręce i zawarcie przymierze ze mną. Zaszedłem potem do „Komitetu Zjednoczenia Białorusko-Litewskiego“. Przy stole „prezydjalnym“ zastałem 8-miu. Ci pokazali mnie odezwy „Jedynki“ zamiast swojej. Pytającym o moje zdanie co do tejże „Jedynki“ powiedziałem, iż mają współpracować i zalecać, by głosowano na dobrego katolika i patriotę, bo wtedy tylko Rząd p. Marszałka Piłsudskiego, poparty przez Sejm patryotyczny, odrodzi Polskę. Jeden z tych „działaczy“ odparł, iż on jest „bezwyznaniowiec“. Zwróciłem uwagę młodzieńca, iż jest za młody, a skoro nie odróżnia Boga od ludzi, jak owe stworzenie czworonożne, nie powinien zabierać głosu tam, gdzie się rozstrzygają losy naszej Ojczyzny. Zapłonął i wyznał otwarcie, iż nie otrzymał wychowania, matka zmarła mu przedwcześnie.

Poznajomilem się z pełnomocnikami „Związku Katolicko-Narodowego“ pp.: Kwinto, Wojtkiewiczem i rejentem Hryniewiczim. Oni i pan Obrapalski, (członek „Związku Ludowo-Narodowego“), zgodzili się na moją propozycję połączenia zablokowanych pięciu list z listą ich, t. j. Nr. „24“. Gdy jednak udaliśmy się do p. Przewodniczącego, Eljaszewicza, wytłumaczył on, że jest zapóźno. Zostawało bowiem zaledwie parę godzin terminu składania list. Lista zaś „24“ była zredagowaną w Wilnie i tam mogli ją zmienić. Wobec tego uzgodniliśmy naszą akcję i obiecaliśmy poparcie wzajemne. Nad Dźwiną miała figurować lista z kandydaturą moją i pana Obrapalskiego pod nazwą: „Grupa Wyborców dążących do naprawy bytu na Kresach Wschodnich“. Popularność nasza zapewniała tam powodzenie, gdy pp. Kownacki, Stoma i Gudaniec w tym okręgu byli mało znani.

Pamiętałem wprowadzić zakaz J. E. Metropolity kandydowania duchownym, ale moje otoczenie zbyt przekonawczo twierdziło, iż gdy „strzecha Ojczyzny się pali, powinienem ją gasić“, bo Arcypasterz i potem jest mocen rozsądzić, zarządzić i wyjątki poczynić, a to i dlatego, że XX. Biskupi w innych dyecezach w wypadkach ważnych księżom kandydować do Sejmu pozwolili.

Istotnie czasu i wyboru innego nie było. Z jednej strony obawiałem się wycofania odemnie list, które przeszkodziłem zgłosić do Okręgowej Komisji, z drugiej — wycofanie się moje z akcji przedwyborczej w danych okolicznościach graniczyło się ze zdradą Kościoła i Ojczyzny, bo listy wydane zawierały imiona kandydatów tak przeciwrządowych jak i akatolickich. Zdecydowałem się stworzyć jednolitą listę pod nazwą: „Grupa Wyborców dążących do naprawy bytu Kresów Wschodnich“. Listę wczasy podałem. Ponieważ na prędce nie miałem dostatecznych podpisów, p. Eljaszewicz pozwolił nadesłać takowe dodatkowo, co też 7-go uczyniłem.

Moi współnicy listy, podburzani przez czuwających „towarzyszy“, zażądali, bym z nimi pojechał nad Dźwinę i naszą umowę, sporządzoną w Święcianach, przedłożył odnośnym komitetom. Przeto, zamiast do Wilna, skierowałem się tam, by porozumieć się z tymi, którzy owe listy podpisali.

XI. Przegląd czterech powiatów.

Silne zamiecie i mróz zatrzymały pociąg o 7 kilom. od Brasławia. Gdy dojechałem do plebanji brasławskiej, ks. Dziekan Sawicki zaproponował mi poświęcić gromnice i sumę odśpiewać. W kilka godzin później odjechałem końmi do Dru, albowiem w Brasławiu ks. Dziekan, znając sytuację, radził i działał sprężyć się.

W Druji wstąpiłem do mecenasa Żubrzyckiego, Inspektora skarbowego p. Janowicza, a potem na plebanję. Nazajutrz potwierdziłem urzędowo umowę, uzyskałem od różnorodnej masy do działania „cartes blanches“.

4-go lutego, w towarzystwie p. Janowicza i p. Piotrowskiego, objeżdżałem: Oblatowo, Leonpol, Uźmiony, Oleszczonice, Bobolowo i Zcstarzyńcy. Spotkałem tam wiele trudności: prowokatorzy za wszelką cenę chcieli złamać nasz sojusz. Energiczna postawa mego ludu, który oświadczał się wyłącznie za moją listą i kandydaturą, złamała przeszkody.

5-go byłem w Miorach. Dzień był niedzielny. Na wieść o moim tu przybyciu ukazało się wiele pobożnych, a było

też dużo i z parafji obcych. Należy to przypisać ks. proboszczowi Świrkowskiemu. (Gdy bowiem ten świątły i gorliwy kapłan dojeżdża do Zastarzyńców, to garną się nie tylko katolicy do tej nowej świątyni, ale i prawosławni). Dbały o chwałę Bożą posłał on mnie na ambonę i prosił, bym objaśnił ludowi czym jest bolszewizm, konieczność głosowania na dobrego katolika i polaka, oraz aby parafjanie zwozili materiał leśny, albowiem z wiosną ma powiększać kościół w Zastarzyńcach.

Tu spotkałem instruktora z listy „24“, a mianowicie, p. Rakickiego z Brasławia. Okazał on legitymację podpisaną przez p. Kownackiego w Wilnie. Ks. Świrkowski zaprosił gościa z nami na obiad. W czasie tym, ku naszemu zdumieniu, p. Rakicki z naiwną szczerością wyznał, iż jest malarzem szyldów dla partyj nam wrogich. Wobec tego gospodarz domu polecił młodzieńcowi nas opuścić.

Po nabożeństwie odjechałem do Pohostu. Tu ks. proboszcz prędko zorientował parafjan w sytuacji a ulotki komunistyczne poszły na spalenie.

6—7 lutego zwiedziłem parafje: Mosarską, Szarkowszczyzną, objechałem częściowo: Głębocką, Hermanowicką, Udziałską, Postawską, Kołtyniańską i Łyntupską. Wszędzie widziałem świstki walające się po drodze i lud odczytujący je skwapliwie. Potem udałem się do Święcian, Strunojć, Kluszczan i Sorokpola.

Czy może tu liczyć na powodzenie lista „24“? Spotykałem ją u księży nie bawiących się w szowinizm. Czytano co prawda we wszystkich kościołach list Episkopatu Polskiego, ale w niedzielę, gdy był mróz i złe drogi. Ponadto w Liście Episkopatu niema mowy o „24“. Ojciec św. i Episkopat kładą nacisk na to, iż wierni winni są wybierać tylko dobrego katolika. Nasz włościanin pojęcia niema o „24“, bo szanowny Komitet K. N. zbyt zlekceważył te powiaty i nie troszczył się o należyłą propagandę. Liczył widocznie na Dziennik Wileński, ale i ten ledwo po 2—3 egz. na gminę przychodzi. Natomiast nad Dźwiną w liście mojej zapowiadano ze sto tysięcy głosów, powodzenie to dzięki tam zbudowanym 7 kościołom przezemnie, pielgrzymkom a przede wszystkim prześladowaniom, jakich doznałem przed wojną: z Dawgieliszek bowiem deportowali mnie do więzienia żandarmi carscy a z Mior usunięto i zesłano za odpieranie rusyfikacji na Kresach. To też, gdy przybyłem do Dawgieliszek w 1906 r., spotkał mnie lud przy odgłosie dzwonów a Dziśnieszczyzna w roku zeszłym wystawiła 38 bram tryumfu na

moje zjawienie się i sześć kościołów, a te w czasie sianozęcia i żniw za 2½ miesiąca.

W Święcianach spotkałem się z artykułem w „Dzienniku Wileńskim“ „Warcholstwo“. Przedrukowało go i „Słowo“. Po przeczytaniu zrozumiałem, iż autor tej karykaturalnej wiadomości jest „polakiem mądrym po szkodziu“ i że lubi strzelać w swoich z za węgla.

Dlaczego on nazywa moją akcję „warcholstwem“, odgadnąć trudno. Bo jeżeli chodziłoby mu istotnie o dobro Kościoła czy Ojczyzny, to wie on dobrze, że ks. Borodicz zbudował jedenaście kościołów, nawrócił kilkanaście tysięcy ze schyzmy, za co Moskale zesłali go na wygnanie a za odpieranie rusyfikacji grzywny płacił, sądy carskie w Grodnie i Pskowie skazały na fortecę.

Ponieważ PIUS XI i Episkopat wymagają od kandydatów na posła, aby byli dobrymi katolikami, to niechże autor niefortunny nie zaprzecza prawa i mnie zaliczać się do dobrych katolików. Jestem przecież kanonikiem i weteranem polskim, któremu J. E. Biskup Daffra polecił dla dobra kościoła udać się do „Przedmurza Chrześcijaństwa“ i kandydować na Sejm. Co do mojego patryotyzmu i wierności dla Polski, to i wrogowie tego nie zaprzeczają.

Z wielką przykrością mówię o sobie pochlebnie, gdy Apostoł zaleca, by nikt nie przechwalał się, „jeżeli nie w Panu“. Ale tenże św. Paweł naucza, jak to zaznaczyłem wyżej, mówić, gdy milczenie staje się zgorszeniem dla „ludzi ułomnych i słabych“. Na tem więc miejscu piętnuję autora artykułu: „Warcholstwo“.

Dnia 8 lutego r. bież., po złożeniu raportu z mej akcyi w Kurji Metropolitalnej, odwiedziłem redakcję „Dziennika Wileńskiego“. Pp. Raczkowski i Kownacki prosili, bym zgodził się wycofać moją listę i kandydaturę z Komitetu Okręgowego, a natomiast agitować na rzecz ich kandydatur, zawartych w liście „24“. Propozycja taka z jednej strony zdziwiła mię, z drugiej — wydawała się zbyt delikatną. Wszak ja wyłowilem 5 list i przyczynilem się do unieważnienia szóstej, które żywił komunistyczny wysunął. Ponieważ je obaliłem a lud obdarzył mnie największym zaufaniem i prosił być jego reprezentantem do Ciał Ustawodawczych, — zdradzać go nie zgadzało się z etyką kapłańską.

A gdybym, przypuścmy, kandydaturę i listę moją wycofał bez rozkazu J. E. Ks. Arcybiskupa, czy nie dawałoby to powodu do zgorszenia? Czy nie powiedzianoby, że oszukałem i zawiodłem swoich, oddając lud na łup wywrotowcom?

A czy taka zdrada nie graniczyłaby i ze zdradą Kościoła? Ojczyzny? Wszak włościanin ciemny, nie znający ani listy „24“ ani jej kandydatów, podjudzany przeciw „Jedynce“ przez wrogie żywioły, mógłby znowu skierować się do takich Miotłów, Taraszkiewiczów, jak to było nad Dźwiną w r. 1922 i znowu powstałyby jaczejki, podminowujące Kościół i Polskę.

Panowie z „Dziennika Wileńskiego“ napewnoby takich propozycji nie zaakceptowali.

W tym międzyczasie „Słowo“ napisało: „X. Kanonik Borodicz z San Remo... ma rację to w tem, że w swoim okręgu wyborczym jest niesłuchanie popularny i że zdobycie mandatu nie przyjdzie mu z trudnością. Będzie to niewątpliwie ciekawy przyczynek do historii głosowania powszechnego w Polsce... Ciekawą postacią jest X. Borodicz. Ile w nim jest niespożytej energii, odwagi, fantazji, jak kolosalnie wpływa na lud i jak umie rządzić jego sentymentami...“

Zanim podziękuję Koledze za komplementy w moim piśmie „Polak na Rivierze“, proszę go błędy daktylografa i te zecerskie „chochliki“ na karb nieuctwa nie kłaść. bo i „Słowo“ od tego nie jest wolne. „Styl to człowiek“!

Powyższy trzeźwy głos zaniepokoił moich politycznych partnerów.

XII. Pałaszowanie.

Kiedy dobrowolnie nie zgodziłem się wycofać mojej listy i kandydatury, pan Zwierzyński, dopatrując się „zbrodni“ za faworyzowanie „Jedynki“, zagroził niedopuszczeniem wydrukowania niniejszej broszury, a gdy zapewniłem, iż widziano ją w Województwie i Kurji Metropolitalnej i drukować pozwolono, dał do zrozumienia, iż sam o tem rozmówi się z J. E. I rozmówił się. Prędko ogłosił w „Dzienniku Wileńskim“ rzekomą suspense i zakaz zamieszkiwania w Wilnie. Na moje nieszczęście nabawiłem się zaziębienia w czasie objazdu 4-ch powiatów i byłem z parę tygodni „zasuspendowany“ przez influencę.

Nadszedł list i od J. E. Metropolity za Nr. 747, w którym Arcypasterz nakazał wycofać listę. Z pokorą to zarządzenie przyjąłem, a pan Obrąpalski odniósł do Arcypasterza akt wycofania, podpisany przez chorego.

Żeby dobić mnie pojawiły się zarzuty inne, bardziej absurdalne. Za takie informacje Sąd Okręgowy na mocy art. 533 K. K. sadzać będzie kalumnjatorów... do kozy.

„Dziennik Wileński“, wabiąc się klerykalnym, ogłosił

nowe oszczerstwa. Dotyczyły one księcia Janusza Radziwiłła. Nie chciano mu przebaczyć tego, iż on ośmielił się kandydować do Sejmu nie z pod „sztandaru 24“, którym żongluje p. Zwierzyński—ale „Jedynki“. Niech mi wolno będzie w imię prawdy złożyć świadectwa następujące: Spotkałem niedawno X. Prałata Milanowskiego, który był ojcem duchownym księcia przez lat 30. Ten między innemi powiedział, że książę Janusz jest bez zarzutu i bez skazy. Przytoczę tu i list następujący:

„Kurja Biskupia w Łucku, Nr. 747, 10 lutego 1928 r. Do PW. Duchowieństwa Diecezji Łuckiej.

Napływają do Kurji Biskupiej i do J. E. Ordynariusza zapytania, czy w obecnych warunkach mogą katolicy ze spokojnem sumieniem głosować za listę na Wołyniu, na której wystawione są nazwiska polaków katolików, mianowicie: w okręgu Łuck-Równe — Janusz Radziwiłł... Wątpliwości te wypływają i stąd, że niektóre pisma warszawskie wypowiadały zdanie, jakoby katolikom nie pozwalało sumienie głosować na taką listę, na której figurują, prócz katolików, także nazwiska akatolików.

Wobec tych wątpliwości Kurja Biskupia stwierdza, iż ich motywy są najzupełniej niesłuszne. Książę Radziwiłł jest nie tylko przykładnym katolikiem, ale nadto prawdziwym dobroczyńcą wielu kościołów parafjalnych.

Wobec powyższego Kurja Biskupia, na mocy polecenia J. E. Ordynariusza Diecezji, powiadamia, że katolicy, mieszkańcy Wołynia, nie tylko mogą ze spokojem sumienia głosować na listę Nr. „1“, ale nadto, że głosując w ten sposób spełnią swój obowiązek względem Ojczyzny jak również, powstrzymując się od głosowania, winnymi się czuć mają zaniedbania obowiązków w sprawie ważnej. Mając to na względzie zechce PW. Duchowieństwo w dalszym ciągu z całą gorliwością współdziałać w wypełnieniu przez ludność katolicką jej obowiązku. (—) X. Prałat Muraszko, Oficjał.

(—) X. Szych Kanclerz.“

Z powyższego wypływa, że „Dziennik Wileński“ i mnie nie powinien był „suspendować“, wysiedlać z Wileńszczyzny i od warcholów wymyslać za to, iż życzliwie mówiłem w Świącianach o „Jedynce“. Chyba p. Zwierzyński powinien był pamiętać „Savoir vivre et laisser vivre“?

Lecz „Dziennik Wileński“ swej kampanji na tem nie skończył. Po zniesławieniu kanonika i księcia rzuca się i na wyższych dostojników. Píše on niedawno artykuł pod adre-

sem X. Biskupa Bandurskiego: „Jeszcze jedno kuglarstwo“. Tym razem ofiara „zawianego“ autora jest oskarżana o brak solidarności z Dziennikiem W. Gromi on Pasterza za to, że ten błogosławił nie Dziennikowi, ale Kurpiom i to takim, którzy zapraszali X. Biskupa do „Jedynki“. Zapomniał widocznie p. Zwierzyński et consortes, że ten Pasterz bohatersko ongi budził „Śpiące Rycerze“ a Rycerze ci z Piłsudskim na czele zatknęli sztandar Wolności Polsce.

Skoro p. Zwierzyński rzucił rękawicę w stronę moją na łamach redagowanego przezeń pisma, niech mi będzie wolno zapytać na tem miejscu mego przygodnego partnera, kogo mam zaszczyt pałaszować!...

1-o. Dlaczego niektórzy publicyści chcą być gorliwsiymi od Papieża i z carska nas karcić, suspendować i ekspulsować? 2-o. W jakim celu tak gwałtownie chcą oni przekuć nas w swoich agitatorów i zmobilizować wyborców? 3-o. Dlaczego ci panowie pomimo naszej woli znowu chcą nas uszczęśliwiać swoją osobą i ich protegowanymi? 4-o. Dlaczego oni nie wypływali za czasów caratu i prusaka, gdy my za „nielojalność“ względem ciemieńczy płaciliśmy grzywny, szliśmy do więzień, na wygnania? Wszak jeszcze w 1907 roku XX. Biskupi i 1564 księży, a iluż cywilnych za patriotyzm było poturbowanych? 5-o. Dlaczego panowie publicyści (niektórzy) atakujecie duchownych, gdy wiecie zgóry, że zniesławieni przez pokorę was po twarzy nie wybija? czy to po rycersku?

A teraz rozważmy społem i spokojniej, zgłębijmy szkodliwość oszczerstw nie tylko powyższych, ale i tych przedmających i zapytajmy logicznie:

1-o. Gdyby w zmartwychwstałej Polsce nie namnożyło się aż tyle „szewców“, co „szyją buty“ innym swem złośliwym piórem lub jadowitym językiem; 2-o. Gdyby oni nie byli znieważali starych weteranów, co wskrzeszali Ojczyznę? 3-o. Gdyby nie byli szargali i bezczęścili imiona, które Narodowi są święte; 4-o. Gdyby tym dwunogom z instynktami szakali nie było dawano posłuchu; 5-o. Gdyby karjerowicze z czasów caratu i przedmajowi nie byli wcisnęli się do Sejmu, Senatu i na urzędy; 6-o. Natomiast, gdyby ci, co szli do więzień i na Sybir za odpieranie rusyfikacji czy germanizacji, byli stanęli na czele Narodu; 7-o. Gdyby ci, co swe życie w czasie wojny nieśli w ofierze na ołtarz Ojczyzny i ją wskrzeszali własną krwią, jak Marszałek Piłsudski, byli należycie uszanowani; 8-o. Gdyby wszyscy zgodnie pod zwycięzców sztandarem Wolności byli współpracowali, a Sejm

i Senat wysokie swe posłannictwo sumiennie wypełniały... Zapewniamy, że nie byłoby doszło do przewrotu majowego, nam wszystkim najboleśniej, do rygoru pomajowego i rozpędzania Sejmu i Senatu. Karjerowicze sejmowi, zamiast odbudowywać Ojczyznę, zdradzali ją, szacherkami, partyjnictwem osłabiali, a byli i tacy, co na Kresach budowali jaczajki bolszewickie...

Biczem Bożym na nich był Marszałek Piłsudski. Cześć Jemu i sława!

Episkopat Polski, mając na względzie dobro Ojczyzny, które ma wypłynąć z wyborów szczęśliwych, zaleca modły, by wyjednać u Boga Sejm i Senat nowy z ludzi kochających Boga i Ojczyznę. Ja zaś w imieniu ludu z Kresów apeluję do nowego Sejmu i Senatu, składając Mu w hołdzie moje memorandum: „Kresy Wileńskie w niebezpieczeństwie“. Szczęść Boże!..

XIII. Apel do Księża Kolegów.

Być może spotkam się z zarzutami, że nie hołduję cnotcie milczenia. Wyjaśniam. Milczenie jest cnotą, ale wtedy, gdy nie jest naszym obowiązkiem kapłańskim czy obywatelskim nawoływanie, lub, jak św. Paweł mówi, gdy to milczenie nie jest „dla słabych i ułomnych“ zgorszeniem. W danym razie czasy są takie, że w oczekiwaniu, nim się pojawi nowy Skarga, ja z konieczności jestem jego małym poprzednikiem. Dlaczego? Mamy czasy i doświadczenia smutne: Popi rosyjscy, gdy Jarosław ich w schyzmę zakuwał, gdy Piotr Wielki tajemnice Spowiedzi łamał, car na szpicli i donosicieli przekształcał—milczeli. Pan Bóg ukarał ich za milczenie a bolszewizm wżarł się w lud.

W Meksyku duchowieństwo, jak ongi we Francji, milczeniem grzeszyło. Dzisiaj jęczy po niewczasie w niewoli masonskiej, nikt mu nie śpieszy z ratunkiem!?

Przewidujący to w swoim czasie Leon XIII, nakazywał i nam wyjść z zakrystji do ludu. Dlaczegoż znowu mamy zamykać się i wtedy, gdy nasz lud potyka się rozpaczliwie z wrogami Ojczyzny i Kościoła i nawołuje nas do pomocy? Dlaczegoż mamy zaniechać odbudowy kościołów i Polski, skoro w naszych parafjach różne Miotły budują śmietniska bolszewickie?

Przecież i św. Tytus nawołuje kapłanów, a szczególnie biskupów, zaleca im, prosić, wołać, grozić i zmuszać lud do prawości. Ponadto Mistrz z Nazaretu, jako Pasterz najlepszy, dał przykład, byśmy szukali zaginione owce, przywracali je Kościołowi i Ojczyźnie.

Powiedzą mi Koledzy, że moralizowanie ich należy do Arcypasterza. Tak! Czołem przed Nim! Ale że i ja pracowałem w pocie czoła z Wami od lat wielu i w czasach niewoli, wespół z Wami, Konfratry, odprawiałem rekolekcje dla ludu, pielgrzymki liczne na odpusty, kołedy u katolików i prawosławnych, Pan Bóg naszej wspólnej pracy błogosławił, cuda czynił, a ludu ze schyzmy tysiącami nawracaliśmy, niech mi wolno będzie zapytać, dlaczego Wy i teraz niektórzy nie wychodzicie po dawnemu z zakrystji? Przecież po powrocie z długiej tułaczki zastałem stan katolicyzmu i polskości u Was gorszy, niż za caratu... Lud znalazłem ten sam, zdolny w parę miesięcy sześć kościołów wybudować na zew kapłana, darzyć go zaufaniem, gdy ten nie milczy i gdy jak matka mu służy... Niestety muszę wyznać gorzką prawdę, iż zastałem Was, kapłanów innymi, szczególnie generację młodszą: misję tak zaszczytną nad Dźwiną nazywają oni „pokutą“... a lud dowołać się ich nie może...

Z siedmiu moich kościołów nad Dźwiną jeden tylko w Miorach od niedawna jest należycie obsługiwany, a to od czasu gdy, tam zjechał czcigodny X. Świrkowski. Do innych, pomimo błagań ludu, nikt tam z kapłanów nie zagląda. Wprawdzie proboszczuje młody kapłan w Leonpolu, ale gdy tam przybyłem 4 lutego, pomimo, iż kościół wewnątrz i cyborjum są w największym porządku, w czasie Mszy św. wiernym, proszącym o Komunię św., odmówić musiałem, bo ten „misjonarz“ wcale nie przechowuje Najświętszego Sakramentu. Cóż mówić o obsłudze chorych, gdy umarłych on grzebie na cmentarzu żydowskim?!

W innych dekanatach jest gorzej. Prasa alarmuje, że katolicy setkami opuszczają swych pasterzy i garną się do schyzmy i sekt.

Jeżeli „Hromadowcy“ zdążyli w Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie zorganizować: 199 hurtków - jacejek komunistycznych w powiecie grodzieńskim, 190 w nowogrodzkim, 140 w słonimskim, 115 w dziśnieńskim, 110 w postawskim i t. d., i t. d., a ilość członków wzrosła w 1926 roku ponad sto tysięcy; jeżeli metodyści i baptyści zaatakowali Wilno, Grodno, Białystok, Dzisnę, Lidę i t. d., a niektórzy popi zaczęli sypać dolarami na prawo i lewo, wspierając te gniazda bolszewickie, to gdzie — gdzie Wy, Fratres, byliście? Kto Was i gdzie pozamykał, dlaczego zasuspendował, w jakim celu?.. Czy nie byliście i Wy ekspulsowani na ten czas przewrotu z Archidiecezji?!

Dlaczego?!. Czyż zapomnieliśmy słowa św. Pawła,

które codzień powtarzamy w Kompletach: „Fratres, sobrii estote et vigilate quia adversarius vester, diabolus, tamquam leo rugiens circuit quaerens quem devoret, cui resistite fortes in Fide! Vos estis lumen mundi“! Wyjdźcież z zakrystji!!! „Żniwo jest wielkie“ a gdzie są żenice?!

Jeżeli kiedy, to dzisiaj najbardziej potrzebne są „Trąby Jerychońskie“, by wszystkich kapłanów i obywateli zbudzić do ratunku Kresów.

Oczywiste, nie moją jest rzeczą Was moralizować — to należy do Arcypasterza, PW Kapituły i XX. Dziekanów. Ale i Ci „ob gloriam Dei“ nie są zazdrośni, gdyż inaczej nie byłiby nawoływali ani św. Franciszek z Asyżu, ani Wielki Skarga, ani ta święta niewiasta Johanna z Arku, ani nasi kochani Zakonnicy i Tercjarze. Do nich przyłączam mój głos ostrzegawczy, a ten na pożegnanie w formie błagalnej przed Was składam, bowiem milczenie w tak wielkich sprawach byłoby naszym potępieniem i zgubą. „Euntes docete omnes gentes!“ Szczęść Wam Boże!

„Żal mi tego ludu“ powtarzam z Chryrtusem. Moi Wy ukochani b. Parafjanie! Na odjeźdźnym i do Was parę słów pozdrowienia z Wilna i pożegnania. Pracowałem i pracować pragnę z Wami do śmierci. Dziękuję Wam za bezgraniczne darzenie mnie zaufaniem. Jeżeli nie będę Waszym pośrednikiem w Sejmie, nie moja w tem wina. Opatrzności Bożej Was polecam. Przy starości, niedołęstwie i okolicznościach, w jakie mnie postawiono, odjeżdżam do San Remo, gdzie też praca i serca kochające, jak Wasze, na mnie czekają. Żyćcie z Bogiem i Ojczyzną! Długie lata współpracy w doli i niedoli, obudowywania kościołów materialnych i moralnych i odpierania wrogów Polski na wieki nas złączyły. Myślą i sercem będę zawsze z Wami. Jeżeli wolą Bożą będzie, odwiedzę Was, jeżeli umrę, duszę moją polecam modlitwom, a Mioran proszę ciało moje złożyć pod kościołem obok moich rodziców. Słodko nam żyć w Polsce i umierać w Bogu!

Gdy Siostrzana Litwa chce walczyć z Polską, radzę jej, by w walce złej woli nie było. Kościół i Polska ocaliły ją przed schyzmą, protestantyzmem i bolszewizmem. Te dwa Narody winne być w jedności, miłości i wyłącznie pod berłem Królowej, co strzeże nas z Jasnej Góry i Ostrej Bramy. Wrogowie podjudzają nas, różnią, rozdzierają, by znowu ujarzmić. W interesie ich podkopać naszą łączność i siłę. O, kajpgi saldu ir miejlu giventi venibej!!!

Kiedy bratnie uczucia z czasów Jagiellów znowu zawitają ku nam, nasza Młódź z nad Wilji i Niemna połączy się w śpie-

wie Waszej cudownej pieśni: „Oj gi gražus, gražus tolimasis Dangus“...

Na zakończenie tych moich opowiadań i uwag przepraszam Sz. Czytelnika za czas Mu zajęty. Opatrzności Bożej i Jego obywatelskiemu sercu Kresy nad Dźwiną polecam. Łuna z za Dźwiny nas zatrważa, szczególnie gdy tę podsyca wraza nam prasa i jej agenci, zręcznie maskujący się. Solidarność i czuwanie — to nasze bezpieczeństwo! Periculum in mora!

XIV. Podziękowania.

Na tem miejscu pozwalam sobie złożyć moje najserdeczniejsze podziękowania: p. p. Premierowi Mussoliniemu, X. Biskupowi Daffrze, Monsignorowi Florczakowi, Rodzinie hr. de Bresson, Baronostwa Lazzaroni, Książąt de Chimay, Ministrowi de Sarreu, Podescie Agosti, Red. Croisier, Dr. Jeruzalskiemu i Kolonji Polskiej — za poparcie i uskutecznienie mojej rehabilitacji; J. E. Panom: Prezydentowi Mościckiemu, Pierwszemu Marszałkowi Piłsudskiemu, Ks. Kardynałowi Hlondowi, Ks. Arcyb. Dubowskiemu, Pierwszemu Prezesowi Najwyższego Trybunału, Władysławowi Seydzie, Ministrowi Załeskiemu, Ministrowi Składkowskiemu-Sławoyowi, Głównemu Komendantowi P. P. Płk. Maleszewskiemu — za listy i depesze gratulacyjne; J. E. Ks. Arcybiskupowi Jalbzykowskiemu, Wojewodzie Raczkiewiczowi, Kanonikowi Sawickiemu, Kancelarzowi Kurji Metropolitalnej — za zaufanie; J. W. Panom: Prokuratorom Stelmanowi i Rauze, Radcom: Piotrowiczowi i Rakowskiemu — za wskazówki i porady; Komitetom Budowy Kościołów, a mianowicie: Panom Korzeniewskiemu, Potockiemu, Rzezyckiemu, Żugierowi Wincentemu. Okuliczowi, Parafjonkowi, Szarkowiczowi, Ziemianom i Ludowi z powiatów: Brasławskiego, Dziśnieńsko-Głębockiego, Postawskiego i Święciańskiego — za ofiarowany materiał na nowe kościoły nad Dźwiną, szczególnie Stanisławowi Łopacińskiemu; Mecenasom: Silvio Dian, Raymondi w San Remo, Palewskiemu w Paryżu i Pogorzelskiemu w Radomiu za obronę mnie i mojej siostry Szkultynowej, a mecenasowi Jasińskiemu w Wilnie — za bezinteresowne prowadzenie spraw Leonpolskich; Ks. Dziekanowi Sawickiemu, Ks. Posłowi Nawrockiemu, Ks. Kanonikowi T. Zawadzkiemu, Ks. Prob. Świrkowskiemu, Inspektorom Skarbowym p. Janowiczowi w Dru, p. Wiśniewskiemu w Święcianach, Sędziemu Kurczewskiemu w Brasławiu i p. p. Inżynierostwu Obrąpalskim za przyjacielskie serce i gościnność.

Wszystkim moim Dobrodziejkom i Dobrodziejom Bóg zapłać!!!